M. B. im. L. W. w Łodzi

POGODNYCH I ZDROWYCH ŚWIĄT!

odgłosu

HONOROWA ODZNAKA M. ŁÓDZI

51–52 (735–736)
19. XII. 1971 r.
Cena 3 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIV

Fot. W. Parys

★ ★ ★

I znowu minął rok. I znowu nadeszły Święta, najpiękniejsze ze wszystkich świąt. Kryją one w sobie uśmiech dzieciństwa, ciepło ludzkiej dobroci, wszystko, co cenne i wartościowe w życiu człowieka. Przy wigilijnym stole będzie nam towarzyszyć pamięć rzeczy minionych i rozmyślania o przyszłości. Bo taka już jest natura ludzka, że wspomnieniu o tym, co było, towarzyszyć musi myślenie o tym, co nadejdzie.

Rok, który upłynął, był rokiem wyjątkowo pracowitym. Rokiem doniosłych przemian w naszym kraju. Rokiem dyskusji i rozmów, co i jak zrobić, żeby kraj nasz szybko i nieustannie dźwigał się wzwyż. Był to rok dobry dla Polski i dobry dla Europy. Postępująca poprawa w stosunkach europejskich rokuje jak najlepsze nadzieje. Zawarte układy między NRD i NRF oraz między NRD i Berlinem zachodnim, rozpoczęcie przez rząd NRF działań ratyfikacyjnych, które winny doprowadzić do pełnej stabilizacji stosunków między ZSRR i Polską a Niemcami zachodnimi — wzmocnią poczucie pokoju i bezpieczeństwa na naszym znękanym wojnami kontynencie.

Prawda, są w dalekim świecie ogniska wojny i niepokoju. Ciągle jeszcze czeka na uregulowanie sytuacja na Bliskim Wschodzie. Nie widać, niestety, końca wojny w Wietnamie. Nowo zaistniały konflikt zbrojny między Indią i Pakistanem nie pozwala zapomnieć o tym, że ludzie giną i umierają niepotrzebnie. Ale są oznaki, że i te krwawe źródła wygasną, a narody, łaknące pracy i pokoju, zatriumfują nad gwałtem i przemocą.

W Polsce wydarzeniem zamykającym rok 1971, wydarzeniem najważniejszym był niewątpliwie VI Zjazd PZPR. Program, wypracowany na tym Zjeździe, spotkał się z całkowitym poparciem i uznaniem całego społeczeństwa. Wypowiedzi przywódców naszego życia politycznego cechowały szczerość, powaga i wysokie poczucie odpowiedzialności. Pierwszy Sekretarz KC PZPR, **Edward Gierek**, w swoim końcowym przemówieniu powiedział ważkie słowa: **„Teraz, kiedy program dalszego rozwoju Polski został uchwalony, najważniejsza jest ofiarna praca nad jego realizacją. Zadania, które przed nami stoją, są trudne, wymagają maksymalnej mobilizacji wysiłków, powszechnej aktywności i inicjatywy. Jest to sprawa całego narodu, wszystkich jego patriotycznych i twórczych sił".**

Nam, mieszkającym w Łodzi, zainteresowanym z natury rzeczy tym, co dotyczy naszego miasta, utkwiły mocno w pamięci słowa Pierwszego Sekretarza KŁ PZPR, **Bolesława Koperskiego** wypowiedziane na Zjeździe: **„Wszystko, co dzisiaj tworzymy, wszystko co programujemy — robimy z myślą o człowieku, o naszym społeczeństwie, o jego lepszym i dostatniejszym życiu".**

Mamy wszelkie powody, aby tegoroczne Święta spędzać w nastroju głębokiego zadowolenia i uzasadnionej wiary w przyszłość naszego kraju.

Pogodnych Świąt i Dosiego Roku, Przyjaciele!

J. K.

WIERSZE O POLSCE
★
UŚMIECH ARIADNY
★
„ŁODZIANIE 1971"
★
NAJLEPSZE W ROKU
★
SPADNĄ CZY NIE SPADNĄ?
★
PROCES STULECIA
★
FIGARO TU, FIGARO TAM...
★
KŁAMSTWO
★
PIOSENKI Z LEWEJ RĘKI
★
KONKURS
★
KRZYŻÓWKA

Hongkong - miasto o stu obliczach

„NATIONAL GEOGRAPHIC" — WASZYNGTON

Spośród czterech milionów mieszkańców Hongkongu, którego terytorium, wraz z wyspami, liczy 398 mil kwadratowych (1013 km kw. — red.), przygniatającą większość stanowią Chińczycy, z którymi trudno porozumieć się po angielsku. Europejczyków jest tutaj około 32 tysięcy, ale oni znów ledwie mówią po chińsku. Dziwaczna symbioza. Mieszkańców miasta zbliża jakaś przemożna, nieomal mistyczna pasja bogacenia się, choć wyobrażenia o bogactwie są tu bardzo różne. Jak zauważył pewien brytyjski pisarz, którego pradziad był swego czasu gubernatorem tej angielskiej kolonii, „w Hongkongu króluje kult pieniądza".

Chiny spoglądają na Hongkong z uczuciem pełnym nadziei. Co roku, 1 października, w rocznicę powstania ChRL, Bank Chiński w Hongkongu stroi się w krzykliwe hasła. Co roku Pekin wygrzebuje z tego „kapitalistycznego śmietnika" trzecią część swojej całej twardej waluty. Za te pieniądze kupuje zboże w Kanadzie, utrzymuje ambasady za granicą, buduje koleje w Afryce, nabywa w Londynie złoto i diamenty.

Pewien były mieszkaniec Hongkongu powiedział mi: „To miasto łączy w sobie „ień" i „jań".

„Ień" — to żeński pierwiastek, symbolizuje coś negatywnego, ciemnego, zimnego. „Jań" — to męski pierwiastek, oznacza coś pozytywnego, jasnego, ciepłego. Jeszcze w starożytności chińscy mędrcy objaśniali harmonię w przyrodzie obecnością owych dwóch zwalczających się pierwiastków.

Hongkong jest osnuty mgiełką romantyzmu i legendy, zdumiewa ostrymi kontrastami. Któregoś razu w rozmowie z miejscowym multimilionerem zwróciłem uwagę, że za akcje pewnej kompanii — wartości 6 milionów dolarów, maklerzy byli gotowi zapłacić 75 milionów. Tegoż dnia dowiedziałem się od pewnego urzędnika, że miesięczny dochód mniej więcej 500 tysięcy mieszkańców Hongkongu nie przekracza 12 dolarów amerykańskich. Nikt nie wie dokładnie, ile biedoty jest w mieście. W 1969 roku było jej ponoć 600 tysięcy.

To jest właśnie „ień" i „jań"...

Na zachód od położonej w centrum miasta Queens Road zaczynają się wąziutkie uliczki, na których przycupnęły małe sklepiki z antykami i porcelaną, gdzie na jednym akrze ziemi tłoczy się tysiąc ludzi, gdzie nietrudno potrącić nogą czyjeś miski z jadłem, stojące wprost na ziemi i gdzie powietrze jest przesycone ostrym zapachem ludzkich ciał.

Ale przecież wypada wejść i na szczyt Wiktorii, gdzie znajdziesz się w „dostojnym osamotnieniu". Wokół tylko sępy krążą, a hen, na horyzoncie przetaczają się w złocistym pyle potężne fale Morza Południowochińskiego.

Nie dziwi, że Hongkong, od wieków doświadczany przeciwnościami losu, przyciąga mnóstwo przeróżnych ludzi. Biznesmeni dążą tutaj, by po upływie trzech lat podwoić swe kapitały. Marynarzy kusza inne uroki miasta. Jednak najbardziej częstymi gośćmi są turyści z dobrze nabitą sakiewką. „Kupują wszystko, wyroby miejscowe i importowane — opowiada prezes hongkongijskiego towarzystwa rozwoju handlu, Robert Walking. — Hongkong jest wolnocłowy i ceny japońskich aparatów fotograficznych, szwajcarskich zegarków i angielskich trykotaży są u nas najniższe w świecie".

Wzdłuż głównych ulic miasta ciągnie się szereg wielkich sklepów. Można w nich kupić piękne wyroby jubilerskie, zegarki, dzbanuszki do imbiru, telewizory, radia, jedwabie, meble, aparaty fotograficzne, obuwie, damskie torebki, perły i wiele innych wyrobów, zdolnych zaspokoić każdy gust. Jedynej rzeczy, której nie udało mi się znaleźć wśród tego potopu bogactwa — to książki.

Wiele pięknych rzeczy można nabyć w Hongkongu również w sklepach chińskich. Ich witryny są zapełnione portretami przewodniczącego Mao i mnóstwem haseł. Ale jeśli, nie zważając na agitkę, wejść do sklepu — oko rejestruje półki uginające się od doskonałych jedwabi, porcelany z Shanton, pekińskich dywanów, przepięknych wyrobów z kości słoniowej. Walorem tych wyrobów jest to, że są oryginalne, a nie fałszowane, jak w niektórych sklepach hongkongijskich.

Przyjechałem do Hongkongu wiosną, w początkach 4669 roku według starożytnego chińskiego kalendarza księżycowego, w roku Świni. Na ulicach nieprzeliczone mrowie ludzi, nastrój świąteczny. Kobiety śpieszyły do domów, niosąc maleńkie drzewka owocowe, które miały już już zakwitnąć. Są one symbolem długo oczekiwanego dobrobytu. Prawie wszyscy przechodnie trzymali w rękach koperty ze „szczęśliwymi pieniędzmi" — tradycyjnym upominkiem noworocznym. Biznesmeni składali ostatnie przednoworoczne wizyty, bowiem stary obyczaj każe, żeby wszystkie długi spłacić w starym roku. Na wszystkich sklepach świąteczne napisy: „Niech wam zawsze towarzyszy pomyślność".

Dworzec w Koulunie był oblężony przez mężczyzn, którzy na święta wyjeżdżali do Chin odwiedzić krewnych. Każdy miał na sobie po cztery płaszcze, z których trzy przeznaczał na podarki.

Wprost z dworca udałem się do „wiejskiego rejonu kolonii", na tak zwane Nowe Terytoria. W tym uroczym miejscu jest przyjemnie brodzić po łąkach, albo usiąść na skraju cichego lasku świątyni, skąd otwiera się malownicza panorama na zatokę. Po 26 latach w 1997 roku, gdy upłynie termin dzierżawy Nowych Terytoriów, cała ta ziemia o powierzchni 365 mil kwadratowych, powróci do Chin. Czy z tego powodu odczuwa się w Hongkongu jakiś niepokój?

„Gdyby Chinom były potrzebne Nowe Terytoria, Pekin mógłby je wziąć choćby jutro — powiedział mi pewien trzeźwo myślący Anglik.

— Dzierżawa jest jedną z tych „niepełnoprawnych umów", które Chiny odrzucają werbalnie".

Jeśliby sobie wyobrazić, że kapitał, który przepływa arteriami Hongkongu, ma serce, to jego mocne tętno można by odczuć w ogromnych fabrykach włókienniczych, pracujących przez okrągłą dobę, bez przerwy 361 dni w roku, już od dwudziestu lat (tylko z przerwą na Nowy Rok według europejskiego kalendarza). Jedną z takich największych fabryk jest „South Textile Manufactoring". Prawdziwy kombinat z grępiarniami, przędzalniami i tkalniami. Z produkcją tego giganta zapoznał mnie prezes kompanii. „Kiedy rozpoczynaliśmy pracę, mieliśmy — plus minus — 5000 wrzecion — opowiadał, starając się przekrzyczeć huk maszyn. — Obecnie mamy ich 58.700. Nieomal połowa wszystkich robotników Hongkongu pracuje w przemyśle włókienniczym".

W 1948 roku właściciele koncernów uciekli z Szanghaju. Inni wielcy przemysłowcy, bankierzy, właściciele kompanii ubezpieczeniowych są także imigrantami. Przywieźli z sobą ogromne kapitały, które natychmiast włączyli do obrotu. Hongkong, żyjący dotąd na rachunek handlu, przekształcił się w centrum produkcji przeróżnych wyrobów, które zbywa po najniższych cenach.

W liczbie uchodźców z Szanghaju, w 1948 roku, przybyli także do Hongkongu Lawrence i Horatio Caduri. Obecnie Lawrence Caduri jest prezydentem kampanii energetycznej „China Light and Power". Odwiedziłem go w apartamentach, mieszczących się w wielkim drapaczu chmur (własność kompanii), skąd otwiera się urzekający widok na całą zatokę. „Hongkong jest wymarzonym miejscem na świecie do robienia wielkich interesów — powiedział Caduri. — Każdy chciałby mieć swoją Szwajcarię, jakieś terytorium, na którym poszczególni ludzie i kraje mogliby wymieniać swoje towary i pieniądze. Właśnie tutaj jest takie miejsce. Pojęcie: kredyt państwowy — w Hongkongu w ogóle nie istnieje. Podatek nie przewyższa 15 procent i w dodatku obciąża się nim tylko kapitały zgromadzone w koloniach. W mieście działa siedemdziesiąt banków, które prowadzą operacje w każdej walucie. Wszystkie rozrachunki przeprowadza się w gotówce. Lokatę kapitału na przeciąg pięciu lat uważa się za zbyt długą".

Ale, żeby naprawdę poznać miasto, trzeba je przemierzyć pieszo, wspinając się po jego krętych, tarasowatych uliczkach, na których tysiące ludzi przygotowuje sobie posiłki, przekomarza się, kłóci, handluje i śpi pod gołym niebem.

Zdumiewa swym rozmiarem budynek amerykańskiego konsulatu generalnego, który jest największym konsulatem w świecie. Dlaczego?

„W Hongkongu działa 450 amerykańskich firm — wyjaśnia pewien bankier — a liczba operacji handlowych jest wyjątkowo duża. Poza tym pełno tu amerykańskich specjalistów od zagadnień chińskich, którzy tylko czekają na moment nawiązania stosunków pomiędzy obu krajami".

W Hongkongu skupiło się wielu zachodnich ekspertów, których głównym zajęciem jest uważne śledzenie wydarzeń, zachodzących w Chinach. „Wiem na pewno, że przy pomocy dokładnej obserwacji Chin z Hongkongu, można się dowiedzieć więcej, niż podczas zorganizowanej podróży po tym wielkim kraju" — powiedział mi znany dziennikarz pewnej agencji informacyjnej.

W biurach korespondentów zagranicznych w Hongkongu dalekopisy wystukują w języku angielskim informacje agencji Sinhua, przekazywane wprost z Pekinu. Specjalne stacje nasłuchowe, rozlokowane na granicy z Chinami, łowią każdą informację radiową i telegraficzną. Ogromna ilość informacji płynie w świat bezpośrednio przez Hongkong. Dla niektórych obserwatorów politycznych znakomitym źródłem informacji jest klub „Marco Polo", w którym zbierają się biznesmeni i dziennikarze. Ale wiele skomplikowanych zabiegów trzeba wykonać, żeby zostać jego członkiem.

Jednym z takich zagranicznych obserwatorów jest Guy Suerls, który — jak sam opowiada — już od dziewiętnastu lat śledzi rozwój wydarzeń w Chinach. Oto przykład pracy Suerlsa: wyłącznie drogą wnikliwego studiowania wystąpień pracowników aparatu partyjnego, oficjalnych oświadczeń rządowych i decyzji partyjnych udało mu się ustalić fakt wkroczenia wojsk chińskich do Tybetu. A przecież ani jeden z chińskich materiałów informacyjnych, a miał je do dyspozycji wszystkie, nawet nie musnął tej sprawy.

Jeśli Hongkong jest dla kogoś naprawdę ojczyzną, to przede wszystkim dla „mieszkających na wodzie". Po raz pierwszy zetknąłem się z nimi, gdy nie opodal Aberdeen, prowadząc samochód wyskoczyłem z ostrego zakrętu szosy i nagle wyrósł przede mną cały las dżonek i sampanów, powiązanych w tratwy. To pływające miasto, zamieszkałe przez dwadzieścia tysięcy ludzi, robi wrażenie naturalnego miejsca zamieszkania.

Ostatnio, „mieszkający na wodzie" coraz częściej przesiedlają się na ląd. I nic dziwnego: ludność Hongkongu wyłowiła już wszystkie ryby z przybrzeżnych wód morskich. Jeśli do niedawna połowy prowadziło tutaj około 10 tysięcy dżonek, to obecnie — najwyżej 5 tysięcy. Mało tego, okazało się, że rybacy mogą też wpaść w sidła polityki. Niegdyś, gdy była jeszcze ryba, zarzucali sieci niedaleko brzegów, a w razie sztormów szukali schronienia w przybrzeżnych osiedlach. Dziś łowią daleko w morzu, a uciekając od burzy, płyną do brzegów Chin. Dlatego to duża część łodzi rybackich z Hongkongu jest zarejestrowana w Chinach, a pewna część połowów wędruje na kontynent.

Gdy ludzie przesiedlają się z dżonek na ląd, powiększając armię robotników umieszcza się ich w ogromnych barakach, gdzie gnieżdżą się ci, których rękami puszcza się w ruch maszynę do wyciskania zysków. Z tych strasznych baraków składają się całe osiedla. Wcześniej czy później niszczy tych ludzi jakaś klęska żywiołowa. Tak było, na przykład, w 1963 roku, gdy w wyniku pożaru w takim osiedlu nędzy, bez dachu nad głową pozostało pięćdziesiąt tysięcy ludzi.

Niejednokrotnie bywałem w rejonie Koulunu, gdzie na powierzchni 2,2 mili kwadratowej, dosłownie wypierając jedno drugie, rozłożyły się drobne osiedla robotnicze, kilka kompleksów mieszkalnych, trzy dzielnice domków rodzinnych, fabryka i na dobitkę na wielkim placu niezliczone namioty przesiedleńców „z wody". W tej koszmarnej ciasnocie mieszka 620 tysięcy ludzi!...

W rejonie Wun Taisiń są tylko dwie ulice i obie zatłoczone wózkami i straganami ulicznych przekupniów. Kilka dużych sklepów usytuowanych w pobliżu nie jest w stanie zaspokoić potrzeb ludności, więc przychodzą jej w sukurs drobni handlarze, którzy szczelnie zapełniają ulice i paraliżują łączność z innymi częściami miasta.

Pewien Chińczyk, zajmujący wysokie stanowisko w policji miejskiej, zaproponował mi objazd dzielnicy na swoim „landroverze".

„Zapoznam pana z problemem, który nam trudno rozwiązać" — powiedział komisarz. Ale jego pomoc była zbędna, bowiem sam doszedłem do tego, jak stoją sprawy. Mimo to ruszyliśmy. Skręt w boczną uliczkę i już utknęliśmy w zwartym wirze ludzkim, z którego wyrwać się nie sposób. Komisarz dawał rozpaczliwe sygnały, ale samochód posuwał się krótkimi zrywami. Dosłownie po kilka centymetrów.

„W tym rejonie przemysłowym mamy 1300 fabryk i różnych innych zakładów pracy, w których produkuje się telewizory, tranzystorowe aparaty radiowe, sztuczne kwiaty i inne wyroby. Na ulice wyległo teraz mniej więcej sto tysięcy ludzi, bo jest to akurat czas przerwy obiadowej. Stołówek i restauracji jest w tym rejonie bardzo mało, więc produkty żywnościowe trzeba kupować od ulicznych sprzedawców. Widzi pan, jak to wszystko wygląda" — utyskiwał komisarz.

Na marmurową fasadę „Hongkong-Club" i starannie przystrzyżone klubowe pole krokietowe kładą się miękko promienie zachodzącego słońca. Tego samego słońca, które „nigdy nie zachodziło nad imperium" w czasach królowej Wiktorii.

Któregoś wieczoru, oprowadzany przez miejscowego przewodnika, postanowiłem przeprowadzić małe badania socjologiczne w rejonie „Chińskiego Klubu Morskiego". Prosperują w tej dzielnicy dziesiątki barów, reklamowanych feerią świateł różnokolorowych neonów. Każdy bar ma grający automat (czasem zastępuje go orkiestra) i pełną obsadę kobiet. Odwiedzają te bary głównie marynarze. Tego wieczoru przybił do portu amerykański lotniskowiec i spora część jego załogi „zarzuciła kotwice" w rejonie Wan Czai.

Nie kończąca się parada umalowanych ślicznotek w tanich klubach nocnych na Wan Czai odwraca uwagę od najbardziej charakterystycznego rysu tego miasta, rysu, którego w pośpiechu nie dostrzegają turyści: w Hongkongu wszystko, co tylko przynosi dochód, ma tendencję gwałtownego wzrostu. Rośnie, jak na drożdżach zwiększa się o dziesięć o sto, o tysiąc razy.

W Hongkongu nie znajdziesz lepszego miejsca odosobnienia jak położona na zachód od miasta wielka górzysta wyspa Tai In Szań, zwana też Lantao. Tutaj, na stoku najwyższej góry wznosi się klasztor buddyjski Pięknego Lotosu, od wieków pogrążony w niezmąconym spokoju. Podziwiając wspaniałą architekturę buddyjskiej świątyni powracałem myślami do tego hałaśliwego, tętniącego życiem miasta, w którym tak dziwacznie zespoliły się „ień" i „jań".

▸POLONICA◂

46 NUMERÓW „MICKIEWICZ-BLAETTER"

Ukazał się 46 z kolei numer czasopisma „Mickiewicz-Blaetter", które od 1955 roku (czyli od Roku Mickiewiczowskiego) wydawane jest w Heidelbergu (NRF) pod redakcją dr Hermanna Buddensiega, tłumacza „Pana Tadeusza" na język niemiecki. Numer obecny otwiera artykuł Aleksandra Brücknera „Adam Mickiewicz — pisarz i dzieło", a wśród innych materiałów możemy przeczytać artykuł Tadeusza Kotarbińskiego, liryki Mickiewicza w przekładzie Karla Dedeciusa oraz notatki Gottfrieda Benna, jak powstał jego wiersz pt. „Chopin". W numerze znajdują się ponadto prace autorów niemieckich i przekład trzeciej części poematu Szota Rustawelego, dokonany przez Hermanna Buddensiega.

„Mickiewicz - Blaetter", które już od szesnastu lat popularyzują literaturę polską dawną i współczesną wśród czytelników zachodnioniemieckich, dobrze przysługują się sprawie znajomości kultury polskiej poza granicami naszego kraju.

POCHWAŁA ZAKOPANEGO I KRAKOWA

W tygodniku hamburskim „Die Zeit" ukazał się artykuł Wolfganga Bollera o stolicy Polski zimowej — Zakopanem pt. „Narty, jodły i ser tatrzański". Autor zajmuje się opisem uroków Zakopanego i gór, gdyż artykuł jego pomieszczony został w tzw. turystycznej części tygodnika. Widać, że Boller był niejednokrotnie w Zakopanem i zwiedzał Tatry, zna dobrze język polski, zwyczaje i obyczaje góralskie, bowiem artykuł jest rzeczowy i napisany z pozycji sympatii dla naszego kraju. Artykuł kończy się słowami: „A po dwu i półgodzinnej jeździe autobusem jest się w pięknym, starym, elegijnym mieście Krakowie z najpiękniejszym, takie w każdym razie moje zdanie, rynkiem świata".

j. k.

ŚMIERĆ PROFESORA BOURILLY

W Paryżu zmarł pisarz i krytyk, znawca naszej kultury, tłumacz „Anhellego", „Balladyny", „Listów do matki" — Słowackiego, autor monografii pt. „Młodość Słowackiego", prof. Jean Bourrilly. Jeszcze w listopadzie wygłosił on odczyt o Norwidzie podczas wieczoru na cześć poety, zorganizowanego przez Ośrodek Polskiej Kultury na Sorbonie i polską ambasadę. Wiersze Norwida recytowali przy tej okazji wybitni aktorzy paryscy.

W. N.

▸POLONICA◂

NASTĘPNY, NOWOROCZNY NUMER „ODGŁOSÓW" UKAŻE SIĘ DNIA 30. XII. 1971 r.

Przywódcy bratnich partii o Polsce na VI Zjeździe PZPR

LEONID BREŻNIEW

Nasza przyjaźń hartowała się w ogniu walk wyzwoleńczych, które czołowi przedstawiciele obu narodów toczyli z wyzyskiwaczami, o wolność narodową i społeczną. Wspólnotę ich celów wspaniale wyraził przeszło sto lat temu wybitny rosyjski pisarz i rewolucjonista Aleksander Hercen. Podczas powstania polskiego przeciwko uciskowi carskiemu pisał on: „Jesteśmy z Polską, bowiem opowiadamy się za Rosją... Pragniemy niezawisłości Polski, bowiem pragniemy wolności Rosji".

Komuniści Polski, Związku Radzieckiego i innych bratnich krajów zawsze, we wszystkich próbach, pozostają wierni swemu internacjonalistycznemu obowiązkowi. Potężna siła internacjonalizmu socjalistycznego znajduje szczególnie dobitny wyraz podczas ostrych kryzysów międzynarodowych, a w ostatnich latach było ich niemało.

Bratnie partie komunistyczne wysoko oceniają wysiłki Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, która w ciągu całego okresu powojennego niezmiennie i aktywnie walczy o umocnienie bezpieczeństwa europejskiego i międzynarodowego, o likwidację źródeł niebezpieczeństwa wojny, o rozbrojenie, o rozwój pokojowej współpracy między narodami. Polska odrodzona, Polska socjalistyczna zajęła poczesne miejsce w polityce międzynarodowej.

GUSTAW HUSAK

Sprawia nam wielką radość, że waszej partii, jej kierownictwu z tow. Gierkiem na czele udało się w krótkim czasie przezwyciężyć to wszystko, co wniosły ze sobą poważne wydarzenia ubiegłego roku i że również stopniowo rozwiązujecie wiele nagromadzonych problemów. Cały okres przedzjazdowy, który śledziliśmy z wielką uwagą i sympatią oraz dotychczasowe obrady Zjazdu w pełni wykazują, że Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, wspierana szeroką inicjatywą produkcyjną klasy robotniczej, chłopstwa i inteligencji, prowadzi naród polski do dalszego rozkwitu swojej socjalistycznej Ojczyzny. Jesteśmy głęboko przekonani, że uchwały VI Zjazdu staną się dobrym programem na tej zwycięskiej drodze.

Obydwie nasze partie aktywnie działają na rzecz umocnienia zwartości międzynarodowego ruchu komunistycznego. Wytrwale demaskując antypokojowe intrygi i prowokacje imperializmu, prowadzić będziemy konsekwentną i pryncypialną walkę przeciwko jego dążeniom, jak również wysiłkom jego sojuszników — wszelkiego rodzaju oportunistów — przeciwko różnym formom antysowietyzmu i antykomunizmu — oraz rozbijania jedności ruchu komunistycznego.

ERICH HONECKER

My, w Niemieckiej Republice Demokratycznej i wy, w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, jesteśmy braćmi klasowymi, jesteśmy sąsiadami, jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, oddanymi wspólnej sprawie socjalizmu. Nasze partie jednoczy przeobrażająca świat zwycięska nauka marksizmu-leninizmu, jednoczy proletriacki internacjonalizm. Nasz braterski sojusz wykuty został we wspólnej walce tak wybitnych synów i cór niemieckiej i polskiej klasy robotniczej jak Karol Liebknecht, Róża Luksemburg i Julian Marchlewski. Został on wykuty solidarnością niemieckich i polskich komunistów we wspólnych walkach w Śląskim Okręgu Przemysłowym w latach dwudziestych i trzydziestych, na polach bitewnych Hiszpanii oraz w faszystowskich więzieniach i obozach koncentracyjnych. We wszystkich próbach, jakim musiała stawić czoła klasa robotnicza, sojusz ten okazał się silniejszy od jego wrogów. Niemiecka Republika Demokratyczna i Polska Rzeczpospolita Ludowa jako bratnie państwa, jako sojusznicy w ramach wielkiej socjalistycznej wspólnoty — to zaiste doniosły zwrot historyczny dla naszych narodów i dla całej Europy, to osiągnięcie, którego będziemy strzec jak źrenicy oka! Dzisiaj żywotna siła naszego sojuszu ustawicznie wzrasta dzięki coraz ściślejszemu zespoleniu naszych partii, państw i narodów w ramach wspólnoty socjalistycznej, a przede wszystkim wspólnoty ze Związkiem Radzieckim.

JANOS KADAR

Nasze partie, Węgierską Socjalistyczną Partię Robotniczą i Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą, łączą idee marksizmu-leninizmu i internacjonalizmu proletariackiego. Wspólne są nasze cele i interesy we wszystkich podstawowych sprawach budownictwa socjalistycznego i życia międzynarodowego. Kierujemy się identycznymi zasadami.

Stosunki gospodarcze między naszymi krajami są wielostronne i rozwijają się. Polska zajmuje czwarte miejsce w obrotach handlu zagranicznego naszego kraju. Rozwijamy ożywioną współpracę naukową i kulturalną. Duży jest ruch turystyczny między naszymi krajami.

Dziś, kiedy oba nasze narody kroczą wspólną drogą budownictwa socjalizmu, wielowiekowa, tradycyjna przyjaźń narodu węgierskiego i polskiego jest mocniejsza niż kiedykolwiek. Możemy zapewnić naszych polskich towarzyszy, że nasza partia i rząd czynią i będą czynić nadal wszystko, aby przyjaźń nasza umacniała się, aby nasza współpraca rozwijała się z korzyścią dla naszych narodów i całej wspólnoty socjalistycznej.

NICOLAE CEAUSESCU

Między narodem rumuńskim i narodem polskim istnieją prastare stosunki o bogatych tradycjach wykutych w walce prowadzonej w okresie naszych dziejów w bojach o wolność i niezawisłość narodową przeciwko imperializmowi i faszyzmowi, wyzyskowi i uciskowi. Stosunki te nabrały nowej treści w latach socjalizmu, mając jako trwałą podstawę nowy ustrój społeczny, ideologię marksistowsko - leninowską, wspólne dążenia i cele w walce o zwycięstwo socjalizmu i pokoju.

Z zadowoleniem stwierdzamy, że między Rumunią i Polską rozwija się z roku na rok owocna i wszechstronna współpraca, a postępy osiągnięte przez nasze kraje w budowie socjalizmu, Układ o Przyjaźni, Współpracy i Wzajemnej Pomocy zawarty między Socjalistyczną Republiką Rumunii i Polską Rzecząpospolitą Ludową, otwierają szerokie perspektywy wzmożenia tej współpracy. Poważny wkład do rozwoju przyjaźni rumuńsko-polskiej wnoszą nasze partie — Rumuńska Partia Komunistyczna i Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, wymiana delegacji i informacji, oraz kontakty po linii partyjnej, co ułatwia lepsze wzajemne zapoznanie się z doświadczeniami i wynikami osiągniętymi w budownictwie socjalistycznym oraz przyczynia się do intensyfikacji współpracy w różnorodnych dziedzinach.

TODOR ŻIWKOW

Zjazd Wasz obraduje w przededniu 30 rocznicy powstania Polskiej Partii Robotniczej. Pozwólcie z tej trybuny najgoręcej pozdrowić Was z okazji nadchodzącego jubileuszu i z całego serca życzyć Wam nowych sukcesów w budownictwie socjalizmu dla dobra i szczęścia narodu polskiego.

Z zainteresowaniem zapoznaliśmy się ze sprawozdaniem Komitetu Centralnego PZPR i z innymi dokumentami Zjazdu. Z uwagą wysłuchaliśmy referatu programowego, wygłoszonego przez I Sekretarza Komitetu Centralnego, towarzysza Edwarda Gierka.

✲

Narody bułgarski i polski łączy głęboka braterska przyjaźń. Historyczne więzi przyjaźni między naszymi narodami, wzbogacone ideami komunizmu nieustannie rozszerzają się i umacniają. Jesteśmy wiernymi towarzyszami walki i ideowymi braćmi w rodzinie socjalistycznej wspólnoty.

JUMŻAGIJN CEDENBAŁ

Pragniemy podkreślić, że Polska Rzeczpospolita Ludowa wniosła i wnosi cenny wkład w dzieło pokojowej ofensywy państw socjalistycznych, niezmiennie broniąc razem ze swoimi klasowymi braćmi sprawy pokoju i socjalizmu, oraz zdecydowanie występując na rzecz stworzenia ogólnoeuropejskiego systemu bezpieczeństwa i współpracy, zespalania wszelkimi sposobami wszystkich rewolucyjnych, antyimperialistycznych sił współczesności przeciwko imperialistycznej polityce agresji i wojny.

✲

Nasza delegacja wyraża głębokie przekonanie, że prace obecnego Zjazdu Waszej Partii, który uzbraja komunistów i wszystkich ludzi pracy PRL w inspirujący i konkretny program działania w nadchodzącym okresie, zajmą wybitne miejsce w historii budownictwa socjalistycznego w Polsce, staną się ważnym wydarzeniem w międzynarodowym ruchu komunistycznym.

ZDZISŁAW SZCZEPANIAK

Rekiny z Zatoki Flamingów

Były tam rzeczywiście — czy nie? Bo jeśli tak to należałoby chyba mówić o szczęściu. Z rekinami przecież nigdy nie wiadomo... Mogły podpłynąć, z samej ciekawości, a potem — ech, lepiej nie myśleć... A jednak myślę o tym czasami — może dla owego dreszczyku emocji jaki wywołują we mnie ciągle żywe, nie tracące nic ze swojej ostrości i barwy — afrykańskie wspomnienia...

W Port Sudanie staliśmy już kilka dni, ale do zwiedzenia nie było tu wiele. Powłóczyliśmy się trochę po ulicach, zajrzeli na targ, wysłali pocztówki do rodzin, oblewali potem w piekielnym upale i coraz rzadziej patrzyli w stronę otaczających port raf. O spuszczeniu ze statku łodzi i popłynięciu na wymarzoną podwodną wycieczkę nie było mowy — choć zdarzało się to ponoć w poprzednich rejsach. Kapitański sprzeciw zgasił ostatecznie wszystkie nadzieje na obejrzenie, na własne oczy, tutejszych „ogrodów Neptuna", a po zasłyszanych w mieście opowieściach o mnogości rekinów w tych wodach dość skwapliwie pogodziliśmy się z losem, który po kilku dniach okazał się jednak łaskawy i dla nas.

Najpierw dostaliśmy się na rafy. Nie — nie wpław i bez łamania kapitańskich zakazów. Pojechaliśmy tam, jak wszyscy turyści, korzystając ze specjalnej portowej łodzi ze szklanym dnem, a właściwie szklanymi okienkami w dnie, przez które można było zajrzeć w Neptunowe gospodarstwo. Łódź krążyła wolno wokół wystających nad wodę koralowych pagórków, ocierała się o chropowatą powierzchnię wapiennych krzewów, zatrzymywała się na koralowych płyciznach, z których obsługa spychała ją długimi drągami, a my — niemalże przylepieni do szyb — wpatrywaliśmy się jak urzeczeni w przeźroczystą wodę. Wydawało się, że łódź nie płynie, a wisi w powietrzu, zawieszona na niewidzialnych sznurach, że jeszcze moment — a zerwawszy się — runie natychmiast jak kamień na leżące parenaście metrów pod nami, doskonale widoczne dno.

W pewnej chwili łódź przycupnęła u wystającego nieco z wody wierzchołka koralowej góry, której podstawa ginęła gdzieś w głębinie, a na jej stokach, na tarasowych występach, na otoczonych koralowymi krzewami piaskowych plażach, zataczały koła, strzelały w przód jak pociski, tańczyły, fikały koziołki i przyglądały się nam z dołu ciekawie — setki ryb, których kształtów i kolorów nie podejmuję się opisać. Zbyt krótko patrzyliśmy w ten zadziwiający kalejdoskop, zbyt wiele chcieliśmy zobaczyć na raz przepychając się od jednego okienka do drugiego, by — oderwawszy na chwilę wzrok od fascynującego widowiska — móc powiedzieć coś więcej niż: „...wspaniałe, spójrzcie prędko tam — niżej — wspaniałe..."

Wkrótce jednak łódź zawróciła szybko w stronę portu. Nasz czas minął. Siedzieliśmy na ustawionych przy burtach ławach przejęci, oszołomieni, a na molo przytupywała już niecierpliwie czekająca swojej kolejki, jeszcze jedna grupka ciekawych.

* * *

Następnego dnia, wczesnym popołudniem, po statku rozeszła się wieść o nowej atrakcji. Przedstawiciel PLO załatwił nam ciężarówkę do Flamingo Bay — Zatoki Flamingów. Miała to być ponoć jedna z najpiękniejszych części tutejszego wybrzeża, świetne miejsce do kąpieli i nieprzebrana skarbnica muszli.

Ładowaliśmy się więc na samochód w pośpiechu, ledwo zdążywszy chwycić parę butelek soku, ręczniki i kąpielówki.

Po pół godzinie jazdy wyboistą, pustynną drogą i w tumanach kurzu — nareszcie dojechaliśmy. Kierowca wysiadł z szoferki, zatoczył łuk ręką wskazując na rozpościerającą się przed nami zatokę, a ledwie zdążyliśmy zeskoczyć w miałki piach wrzasnął, że wróci za cztery godziny i ruszył gwałtownie z powrotem, jakby gorący i brudny piasek palił się pod kołami samochodu.

Zostaliśmy sami. „A więc to jest ta słynna Zatoka Flamingów? — westchnął ktoś — gdzie są flamingi, muszle i plaża? A niech to... podkreślił soczystą wiązanką swoje niezadowolenie z doznanego zawodu — ładnie to tu nie wygląda..." Rzeczywiście. Z szmaragdową wodą zatoki kontrastował przykro niegościnny, zapuszczony brzeg na którym staliśmy — pokryty walającym się gęsto śmieciem, pordzewiałymi puszkami, stosami cuchnących dziwnie korali, „pnączami" kolczastego drutu zagradzającego wejście do paru rozlatujących się, opuszczonych bud i ruder.

Plaża — i to rozległa, olbrzymia — była, owszem, ale po drugiej stronie zatoki. Od tamtego brzegu oddzielało nas jednak jakieś 200—300 metrów wody w której... no cóż, raczej nie powinno być, podobno na pewno nie widziano rekinów. Wprawdzie nie zdążyliśmy wziąć na ten temat słowa honoru od kierowcy i trudno było sądzić, że zobowiązuje ono także wszystkie ludojady z Morza Czerwonego do bezwzględnego omijania Zatoki Flamingów, ale — cóż było robić...? Siedzieć tu bezczynnie i wracać do domu bez muszli?

Po krótkim namyśle, dwóch skłóconych z wodą marynarzy postanowiło zaciągnąć wartę przy naszych rzeczach, a reszta członków „wyprawy" rzuciła się dziarsko w wodę. Płynęliśmy spokojnie — niemal w równym rządku, głowa przy głowie, czasem tylko któryś sapnął głośniej lub mocniej uderzył w wodę nogą.

Dobrze, że wziąłem jednak maskę — pomyślałem i przypominając sobie tylokrotne marzenia postanowiłem wreszcie dać po raz pierwszy w życiu nura w kuszącą swoją przeźroczystością wodę Morza Czerwonego. Złożywszy się jak scyzoryk, a potem wyrzuciwszy nogi wysoko w górę spłynąłem łagodnie w dół. Niegłęboko. Nie będę bujał. Dwa, trzy metry pod powierzchnią, żeby zobaczyć jak snop słonecznego światła otwiera przede mną drogę niżej — jeszcze metr, dwa, gdzie w rozmytej niebieskości wody poczułem się jak ptak — wyrywając się jednak po chwili gwałtownie z powrotem ku drgającej jak rtęć powierzchni, bo nagle zabrakło w płucach powietrza. Woda była naprawdę wspaniała. Zanurzyłem się jeszcze raz — głębiej, ale brakowało jakiegoś punktu odniesienia, żeby ocenić jej przejrzystość. Dno leżało gdzieś tam — niżej — ale wypatrywałem go na próżno, tak jak i ryb, z których żadna nie pojawiła się jeszcze w moim polu widzenia.

Nagle — skręcając nieco w bok zobaczyłem... nisko, bardzo nisko — teraz dopiero mogąc ocenić wspaniałą widoczność — sunące wprost pode mną dwa długie, nieco rozmazane cienie... Nie — nie napiszę tu, że okazałem wspaniałe opanowanie, zimną krew i obojętność, że powiedziałem sobie natychmiast: „spokojnie, stary — to nie mogą być rekiny. Tu rekinów nie ma. Słyszałeś przecież dobrze..." Nie. Pomyślałem akurat odwrotnie: „Rekiny! A jeśli nie rekiny to co? Może epinefalus — olbrzymi, parumetrowy okoń morski połykający jak nic taką 174-centymetrową kluskę..."

A kiedy nieco zdrętwiały — powoli, ostrożnie — zawróciłem do góry nie chcąc tym — tam w dole — zdradzać swojej obecności, zmroził mnie inny widok. Oto jakieś dwa metry ponad moją głową zobaczyłem kilkanaście par nóg i rąk dyndających i podrygujących w wodzie niczym apetyczne przynęty. Wyglądało to makabrycznie i... zachęcająco. Tylko chory z przejedzenia rekin mógł sobie pozwolić na zlekceważenie takiej bezradnie trzepiącej się po powierzchni i aż proszącej się o skonsumowanie, przekąski.

Z resztą tchu w płucach, ze świadomością, że i ja przebierając rozpaczliwie nogami dołączam teraz do owego zestawu przekąsek, wychyliłem głowę ponad wodę gotów do rozpaczliwego wrzasku... Tylko co miałem krzyczeć? Padnij! Powstań! Rekin! — kryć się!!? Przecież wzbudzenie paniki, gwałtowne ruchy, nagłe szamotanie się w wodzie tylu ludzi mogło co najwyżej przywabić którąś z krążących tam w dole, i nie tyle może głodnych co zaciekawionych, bestii.

— Teraz płyniemy względnie spokojnie — myślałem gorączkowo — więc może uda się... Tfu...! Zakrztusiłem się okropnie słoną wodą — z wielkiej rozterki i emocji, o której opowiada się długo, ale wszystko działo się przecież zaledwie w ciągu kilkudziesięciu sekund. Znów zanurzyłem głowę wypatrując z niepokojem, jakiegoś żarłacza, obwąchującego mi już pewnie pięty, ale głębina była pusta. Niestety, nie mogłem nawet odetchnąć z ulgą; wytrzeszczałem więc tylko oczy, i starałem się płynąć tak delikatnie, tak ostrożnie jakby mnie tu w ogóle, ale to zupełnie nie było. Kolor wody z ciemnego szmaragdu przeszedł teraz w jaśniuteńki błękit i nagle, tu i tam, białymi plamami piasku prześwitywać poczęło dno. Zapominając o ostrożności pociągnąłem rękami mocniej na boki — raz i drugi — i oto nagle znalazłem się w środku stada niedużych ryb — czerwonych, pomarańczowych, fioletowych, żółtych w czarne pasy, a może odwrotnie czarnych w żółte prążki, które rozprysnęło się błyskawicznie niczym lśniąca tęczowo mydlana bańka. Na ich miejscu pojawiły się zaraz nowe, obdarzone dla odmiany dodatkową parą oczu w okolicy... ogona. Dopiero po chwili zorientowałem się, że to podstęp, kamuflaż, a łudząco podobna do oka kolorowa plamka ma po prostu wprawiać w osłupienie ewentualnych prześladowców. Przede mną — o długość ręki — płynęło teraz spokojniutko olbrzymie stado jakiegoś rybiego drobiazgu. Łagodnym łukiem, ale karnie i w równych szeregach, niczym na jakiejś podwodnej defiladzie rybie pułki odpływały powoli w głąb zatoki, a

ja — czując nieprzepartą ochotę podążenia za nimi na spotkanie cudom ich wspaniałego świata — musiałem, niestety, wracać...

Wypływałem tuż przy koralowej ścianie drugiego brzegu zatoki, pracując coraz szybciej rękami i nogami, niewiele już zwracając uwagi na przesuwające się przed szybką maski gałęzie korali, jakieś szpary, szczeliny i dziury w koralowym bloku, gdy nagle... z jednej z nich wychynęła znienacka, jak wypchnięta sprężyną nieduża, ale straszna głowa — ni to węża, ni... starej, przerażającej wiedźmy. W rozchylonej lekko, ohydnej paszczy sterczały długie, groźne kły... W oka mgnieniu przypomniałem sobie wszystkie przeglądane jeszcze w kraju opisy i fotografie. Tak — to była na pewno murena! Wiedziałem, że te drapieżne, czające się w szczelinach raf, węgorzokształtne ryby — silne i uzbrojone w potężne szczęki — są nie tylko postrachem ryb i kryjących się przed nimi w pieczarach ośmiornic, ale że rozdrażnione mogą także ciężko pokaleczyć, a nawet zabić nieostrożnego płetwonurka. Wprawdzie daleki byłem od drażnienia tej czarownicy, ale mimo to zmykałem do góry co prędzej i, dusząc się prawie z braku tchu, wypłynąłem wreszcie na powierzchnię. Brzeg był tuż, tuż...

Wychodziliśmy powoli, po koralowych występach, na piaszczystą łachę, a ja — ściągając z twarzy maskę — próbowałem zdyszany opowiedzieć co mi się, daj Boże, przywidziało... Ale teraz zafascynował wszystkich rozciągający się przed naszymi oczami widok: olbrzymia przestrzeń piaskowych wydm, pagórków i wysepek, między którymi rozpościerały się jeziora płytkiej chyba wody, które musieliśmy jeszcze przebrnąć, aby dojść do brzegu morza. Zaś hen daleko, wśród puszczających słoneczne zajączki rozlewisk widać było dziesiątki, nie — setki — ptaków stojących nad wodą na długich cieniutkich nogach i pogrążonych w jakichś poważnych medytacjach. Nie spłoszyło ich bowiem ani nasze lądowanie, ani długi, przenikliwy gwizd jednego z marynarzy, za to my wszyscy — ledwie przeszedłszy kilkanaście kroków w siwej, mulistej wodzie — stanęliśmy jak wryci, gdy idący w przodzie Staszek Szlas — marynarz z pokładu — wrzasnął: „Raja!" i szarpnął się gwałtownie do tyłu.

— Gdzie? Coś ty... Za płytko! Jak wyglądała? — wołaliśmy jeden przez drugiego.

— Była! No niech mnie... Była raja! — gorączkował się Staszek — prawie na nią wlazłem, ale w ostatniej chwili spojrzałem pod nogi i ledwie dojrzałem ją w tej zupie. Leżała prawie cała zakopana w mule i nagle rzuciła się w bok, tylko ogon śmignął... Nieduża, ale gdyby mnie trafiła...

Właśnie. Jeżeli była to rzeczywiście jakaś przedstawicielka licznej rodziny płaszczek występujących w wielkiej liczbie w wodach tropikalnych, przyczajających się zwykle w bezruchu na dnie i bardzo trudnych do zauważenia — to spotkanie z nią mogło zakończyć się nader przykro. W wypadku trafienia któregoś z nas, znajdującym się w ogonie kolcem jadowym, czekał nieszczęśnika co najmniej przejmujący ból, zapalenie skóry, kurcze, a może i tragiczniejszy finał...

Tym razem obyło się na strachu. Dalej ruszyliśmy już jednak ostrożnie, w zbitej gromadce, burząc przed sobą wodę, by plusk i hałas spłoszyć mógł w porę innych, groźnych dla naszych bosych stóp, mieszkańców rozlewiska. Szliśmy wolno, niemal majestatycznie, podnosząc wysoko nogi, podobni gromadce bocianów, lub kroczących spokojnie nie opodal flamingów.

Stosy muszli leżące na piaskowych wydmach, tuż u brzegu morza, były nagrodą za podjęte (trudno rzec by po głębszej rozwadze) ryzyko. Biegaliśmy po wybrzeżu jak pracowite mrówki usypując całe kopce z wyrzuconych na brzeg muszli i długo medytując, które wybrać na pamiątki dla rodziny i przyjaciół. Ale nie to okazało się najważniejszym problemem. Po pewnym czasie, kiedy każdy z nas miał już odłożony na piasku komplet gustownych muszelek, któryś ze zbieraczy uderzył się dłonią w czoło i zakrzyknął: „Fajno, ale jak my stąd zabierzemy ten majdan?" Za koszule nie włożymy, bo zostały po tamtej stronie, chyba że...

Spojrzeliśmy po sobie zasępieni. Oto hen, gdzieś na brzegu Morza Czerwonego stało kilkunastu bezradnych facetów, z garśćmi pełnymi muszli, w majtkach tylko i...

— Jasne! — wrzasnął któryś — jedyne miejsce to tu — i odciągając gumkę spodenek kąpielowych jął wpychać za nie co urodziwsze muszle...

Ryknęliśmy śmiechem, ale po chwili — cóż było robić — wszyscy przystąpiliśmy do ostatecznej selekcji zbiorów oraz ich sztauowania, co w terminologii morskiej oznacza odpowiednie rozmieszczenie ładunku... Nie obyło się przy tym bez narzekań i pojękiwań. Ten i ów wyciągał zza slipów włożoną tam przed chwilą muszlę, zbyt dużą widać i zbyt kłującą, ciskał ją w piasek ze złością i żalem, po czym szukał mniejszej i siłą rzeczy, już nie tak efektownej. Wreszcie, gotowi do drogi powrotnej przedstawialiśmy widok... hm... przekomiczny, gdy tak człapaliśmy ku zatoce, w ciasno zbitym stadku, podtrzymując zawartość spodenek obiema dłońmi i schylając się raz po raz po wypadające ciągle muszle.

Przeprawa na drugi brzeg, skąd już wymachiwali do nas pozostawieni przy ubraniach „wachtowi", miała wszelkie cechy pokazu zbiorowego tonięcia grupy rozbitków, z których żaden nie umie pływać, ale wszyscy chcą żyć i tylko dzięki temu — cudem utrzymują się na wodzie. Miotaliśmy się w niej bowiem rozpaczliwie, płynąc jak się dało, na plecach, bokiem, byle tylko dalej — i byle nie uronić zza majtek drogocennego łupu. Nie pamiętam już komu oddałem maskę, w każdym razie dzierżąc w zębach najpiękniejszą muszlę i tuląc do łona na zmianę to lewą to prawą ręką, resztę moich zbiorów — myślałem o wszystkim tylko nie o tym co się tam teraz dzieje w głębinach. Nagle płynący obok mnie elektromonter Janusz Gaszyński wydał krótki gardłowy okrzyk i z bulgotem zniknął pod wodą tak szybko, że ledwie zdążyłem pożegnać wzrokiem jego pięty. To nagłe zniknięcie widziało jeszcze kilku płynących z boku i z tyłu chłopaków, ale zanim zdążyliśmy pomyśleć o najgorszym i wpaść w panikę — woda zakotłowała się znowu i parę metrów dalej ukazała się głowa Janusza, który kaszląc i plując wysapał:

— Cholera! Nie dogoniłem... Największa, najładniejsza muszla poszła w dół przez nogawkę...

I to był ostatni już tego dnia dreszczyk emocji. Zmęczeni, zziajani, a gdyby w wodzie można się było pocić — to i spoceni — dopłynęliśmy wreszcie do brzegu. Owszem — były pewne straty. Mimo usilnych starań część przewożonego bagażu ozdobiła bowiem dno zatoki, ale w sumie wyprawa nie zawiodła naszych nadziei. Wracaliśmy na statek z kolekcją zdobytych nie bez trudu i poświęcenia muszli, syci wrażeń i... głodni jak wszystkie rekiny z Zatoki Flamingów — z pewnością nie mniej żarłoczne niż inne, ale pełne widać litości — a może respektu — dla polskich marynarzy i reporterów...

(Artykuł ten, pióra rzeźbiarza i poety włoskiego ukazał się w 1964 roku w katańskiej gazecie „Corriere di Sicilia". W czasie wojny autor był jeńcem obozu hitlerowskiego w Zawierciu).

SALVATORE INCORPORA

ŚWIĘTA W OBOZIE

Była zima 1944 roku. Na stacji kolejowej w Zawierciu jeńcy wojenni wyładowywali z wagonów węgiel. W mieście nie było mężczyzn, Niemcy osadzili wszystkich za drutami w pobliskich górach. A kobiety zapędzone do odlewni Erbego produkowały bomby dla okupanta.

Na drodze do miasta czerwieniały jeszcze ślady krwi rozstrzelanych Żydów. Wzdłuż drogi stare drzewa wyciągały do nieba martwe konary. Tylko na zamarzniętym jeziorku ślizgały się beztrosko dzieci. Nad Zawierciem górowała wysoka dzwonnica kościoła Piotra i Pawła, położonego niedaleko fabryki Erbego, w której pracowaliśmy.

* * *

Pewnego październikowego popołudnia zapukałem do drzwi zakrystii. Ksiądz, zanim mnie wpuścił do środka, podał mi pantofle. Moje trepy oblepione były brudnym śniegiem. Podobał się księdzu przedstawiony przeze mnie projekt żłobka dla kościoła na święta Bożego Narodzenia. Do tego celu udostępnił mi prawą apsydę od nawy głównej.

Od tej chwili w naszym lagrze za kolczastymi drutami, zawrzała praca. Towarzysze niewoli z narażeniem życia wymykali się z obozu i znosili glinę do zamykanego na kłódkę pomieszczenia pod schodami. Tam powstawały co dzień nowe figurki do polskiego żłobka: pasterze, trzej królowie, górale z kobzami i piszczałkami, wieśniacy w ludowych strojach. Lepiliśmy także przeróżne zwierzęta: koźlęta, krowy i woły, stada owieczek i baranów, a nawet wielbłądy. Każdego dnia, ukryte pod obszernym kapturem więziennego płaszcza figurki przenosiłem do fabryki oddalonej około tysiąca metrów od lagru. Wsuwałem je między ściany wielkiego pieca, ażeby wypalić glinę. Każdego dnia, podtrzymywany ramieniem towarzysza, wracałem z wypalonymi już figurkami do pomieszczenia pod schodami lagru, gdzie malowałem je różnobarwnymi farbami.

* * *

Był listopad, przez okienko pomieszczenia wpadał śnieg, z zimna drętwiały mi ręce. Jednak dzień po dniu, ciągle w ukryciu, malowałem bez wytchnienia: stroje kobiet przy studni, aniołów, pasterzy i żołnierzy przed grotą stajenki. Figurki do żłobka mnożyły się, wiele razy robiliśmy je na nowo, gdyż jako zabawki dla dzieci, wędrowały do rąk matek polskich, które za to obdarowywały nas chlebem.

Pracę nad żłobkiem utrudniał mi brak oleju potrzebnego do wyrabiania gliny. Ból przenikał mi serce na wspomnienie dnia, w którym zmuszony byłem tubki oliwy wyrzucić z żołnierskiego plecaka w czasie forsownego marszu wzdłuż Elby.

W pracy dodawała mi sił i podnosiła na duchu pełna poświęcenia pomoc włoskich kolegów. Nie szczędzili oni trudów i ryzyka. Nosili drewno, deski, tekturę, papier, cement. Materiał ten był konieczny dla zmontowania panoramy, groty i innych jeszcze akcesoriów żłobka. Najbardziej podziwiałem mojego przyjaciela neapolitańczyka, zawsze pogodnego i rozśpiewanego. Beztrosko przeskakiwał mur otaczający fabrykę, narażając życie, aby pomóc w przenoszeniu stołów do wielkiej, opustoszałej i ograbionej przez okupanta katedry. W grudniu pozostało jeszcze siedem dni wzmożonego, wspólnego wysiłku — i kolorowy żłobek rozjaśnił smutne wnętrze kościoła.

Wokół miasta rozciągały się pola pokryte śniegiem. Tylko kominy fabryczne wystrzelały słupami dymu w szare niebo. Na oblodzonych drutach kolczastych wisiały sople lodu. Mróz trwał już wiele dni, mróz na świecie i w naszych sercach.

W wigilię Bożego Narodzenia tęskniliśmy za rodzinną ziemią i gorącym słońcem Italii. I nagle zjawił się starszy człowiek i spytał o mnie. Podał mi ciasto. Byłem zaskoczony i wzruszony. Nie zdążyłem ochłonąć z wrażenia, a tu nieznajoma kobieta wręczyła mi chleb. Dziecko wyciągnęło ręce z winem. Przyszli do nas mieszkańcy Zawiercia, narażając życie, by w tym dniu podzielić się z nami chlebem, by rozproszyć nasz smutek i samotność. Przyszło ich wielu, przynieśli wiele podarunków.

Wieczorem usiedliśmy na stołkach za stołem, zrobionym z innych stołków. Szczęśliwi piliśmy polskie wino, jedliśmy chleb i ciasto, które podzieliliśmy między wszystkich. Wielką radością była dla nas myśl, że niedaleko, w kościele lud polski modli się także za nas przed grotą szopki Bożego Narodzenia.

Tłum. **NATALIA CANOVA**

Od tłumacza: W 1967 r., w czasie Bożego Narodzenia byłam w Zawierciu, aby zobaczyć włoski żłobek. W rozmowie z ks. dziekanem Boguckim dowiedziałam się, że żłobek rozpadł się, figurki przy corocznym przenoszeniu połamały się. Ks. dziekan pamięta doskonale nie tylko prof. Incorporę, ale nawet imiona jego towarzyszy niewoli. Salvatora Incorporę poznałam osobiście w czasie pobytu w 1968 r. w Katanii. Z wielkim rozrzewnieniem wspomina Polaków.

N.C.

ROMAN ŁOBODA

Dialog

Rzekł więc
ograniczają nas żywioły
woda ogień powietrze i słowo

Mój brat ma przeźroczyste oko
widzę na dnie roztrzaskane drzewo

Mówię mu bracie
cóż ci wadzi korona
zabierasz mi
co dzień co liść co światło
które kochasz wiem chociaż
cierpisz z powodu kalectwa

Rzekł więc
ograniczają nas żywioły
noc strach poczęcie nietrwałość

Mój brat ma pękniętą skórę
słyszę jak w piach wycieka bezustannie źródło

Mówię mu bracie
cóż wadzi ci prawda
zejść się możemy
niekoniecznie pod ziemią
co rusz co gest codziennie
wysychasz w sobie jakbyś
nie znał formy dla swego pragnienia

Rzekł więc
ograniczają nas żywioły
przestrzeń czas głębia i ciało

Mój brat ma serce pełne samotności
płynie krew jego w zamkniętym układzie

Mówię mu bracie
więc spróbuj żyć za mnie
ja za ciebie w źrenicy oka
jako twój język i ból
i niekosmate twe ucho
jakby jeden w nas głód
i jedna forma naszego pragnienia

Rzekł więc
połączą nas żywioły
woda ogień powietrze i słowo.

TELEOBIEKTYW

Jeszcze jeden rok telewizyjny

...mamy za sobą. Sytuacja prosi się o jakieś podsumowanie, czy syntetyczny obraz programu w 1971 roku, którego ostatnie chwile nam umykają. Ale struktura programu jest tak złożona, granice czasowe tak rozległe! Sam tylko program pierwszy wypełnił w ciągu roku około 2500 godzin emisji.

Bagatela — 2500 godzin. Do tego ponad 1500 godzin programu drugiego. Razem około 4000 godzin. Tyle czasu miały do wypełnienia redakcje warszawskiej telewizji i ośrodków regionalnych. Jest to worek bez dna, do którego wrzuca się rzeczy bardzo nierówne pod względem charakteru, gatunku, wartości. Wspólnym mianownikiem jest tu tylko ekran i płynący nieprzerwanie strumień czasu.

Dlatego niełatwo o generalne oceny programu. Czy był w 1971 roku lepszy niż w latach poprzedzających? Któż to wie! Czy przyniósł jakieś nowości godne odnotowania? Tu już łatwiej o odpowiedź.

Rok 1971 zapisał się w kronikach telewizji uruchomieniem „Trybuny obywatelskiej". Było to zjawisko ważkie nie tylko z punktu widzenia atrakcyjności programu. Zapoczątkowany został za pośrednictwem telewizji dialog władzy z narodem, dialog bezpośredni, szczery i o nie znanym dotąd zasięgu.

Ktoś powie może, iż nie ma w tym zasługi telewizji. Zaistniał po prostu klimat dla takiej rozmowy. Istotnie. Ale czy ujmuje to znaczenia temu zjawisku programowemu? Nie. Doczekaliśmy się bowiem formy programowej, angażującej każdego myślącego i czującego obywatela. Telewizja zaś, stawiając do dyspozycji przywódców partyjnych swą bazę techniczną, spełniła rolę masowego środka przekazu w sposób najpełniejszy.

Drugim novum, o mniejszym już oczywiście ciężarze gatunkowym, niemniej jednak o dużym znaczeniu, stanowiły programy z zakresu najnowszej historii z udziałem świadków dziejowych wydarzeń. Mam tu na myśli „Opowieść o bitwie pod Monte Cassino" z Melchiorem Wańkowiczem jako narratorem i „Spotkanie z generałem" czyli relacja o powstaniu Dywizji im. Tadeusza Kościuszki w ZSRR i o bitwie pod Lenino przekazana przez Zygmunta Berlinga.

W obu przypadkach telewizja trafiła na znakomitych wręcz piewców wypadków historycznych. Siłą ich był autentyzm wspomnień i intensywność ponownego jakby przeżywania odległych już w czasie faktów. Należałoby sobie życzyć, by rok 1972 przyniósł dalsze pozycje tej tak wartościowej serii.

Szperając w pamięci w poszukiwaniu najlepszych programów kończącego się roku, natrafiłem natychmiast na film telewizyjny Krzysztofa Zanussiego „Za ścianą". Jego skromny zamysł fabularny i prostota środków wyrazowych podkreśliła jeszcze i uwypukliła nie pozbawiony smętku, ale piękny humanizm tego utworu. Wraz z filmem tym zwycięsko wkroczyła na ekrany telewizorów Maja Komorowska, której aktorstwo zabłysło pełnym blaskiem.

Przy tej okazji z pewnym zażenowaniem pominąmy milczeniem nadany w tymże roku polski serial telewizyjny „Doktor Ewa".

Dla teatru TV nie był to chyba rok szczególnie płodny. Ani jeden ze spektakli nie był jednoznacznym sukcesem. Osobiście najwyżej postawiłbym widowisko „Przyjdzie taki pod sam dom i...", będące adaptacją telewizyjną powieści Erskine'a Caldwella „Sługa Boży". Wywołało ono opinie bardzo kontrowersyjne. Wiele osób krytykowało je za śmiałość w prezentowaniu seksualnych obsesji. Ale znakomicie operująca środkami ekspresji telewizyjnej reżyseria Gustawa Holoubka i niemniej znakomita jego kreacja w roli kaznodziei-szarlatana na długo zapadła mi w pamięci.

Sukces Holoubka był o tyle większy, że w tymże roku adaptowano szereg wybitnych powieści — „Tragedię amerykańską" Dreisera, „Ludzi bezdomnych" i „Popioły" Żeromskiego, „Poletko Pana Boga" tegoż Caldwella — wszystkie z miernym skutkiem.

Kończy mi się felieton. Powiedziałem tak mało, a rok telewizyjny to temat tak obszerny...

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

BOGDA MADEJ

SPADNĄ CZY NIE SPADNĄ?

Z piłką nożną w wykonaniu Łódzkiego Klubu Sportowego zetknęłam się w tym czasie, kiedy w drużynie grali m. in. bramkarze — Kłaczek i Szczurzyński, maleńki Kubocz i zawsze opanowany Baran. Zaopatrzona w kilka grzanek i jajko na twardo, towarzyszyłam ojcu w kolejnych wyprawach na stadion. Panowie z piłkarskiej drużyny ŁKS podobali mi się wtedy nie tylko dlatego, że byli przystojni, nie tylko dlatego, że w gazetach tłustym drukiem pisano o nich „rycerze wiosny", ale i dlatego, że, po prostu, dobrze grali.

Ich następcy podobali mi się mniej, aż w ogóle przestałam się nimi interesować, bo grali coraz gorzej i w końcu spadli do II ligi. Ubiegłej wiosny, kiedy cała Łódź zastanawiała się, czy ŁKS wejdzie do I ligi, czy też nie, przypomniałam sobie o swoich piłkarskich idolach. I znów zaczęłam chodzić na mecze. Ucieszyłam się z ich awansu i zapamiętałam nie tak dawne zapewnienia zawodników ŁKS, że będą chcieli utrzymać się w środku tabeli. Pierwsze mecze były nawet nie najgorsze. Ale oto mamy koniec jesiennej rundy rozgrywek extraklasy i jak stwierdził piłkarski sprawozdawca telewizyjny — niezastąpiony Jan Ciszewski — ŁKS jest jednym z kandydatów do spadku. Znów II liga?

Fot. E. Hartwig-Fijałkowska

INOWŁODZKA SZKOŁA GRY

— Spadną czy nie spadną?

— Mają pełne szanse, żeby spaść — odpowiedział aktor Teatru Powszechnego w Łodzi, WŁODZIMIERZ SKOCZYLAS. — Grają tak, jakby nie widzieli, jak się gra teraz w futbol na świecie. Jeśliby przyjąć, że są dwie szkoły gry w piłkę: falenicka i otwocka, to ŁKS wymyślił trzecią szkołę — inowłodzką. Bóg wie po co. A w ogóle tak wygląda, jakby ełkaesiacy uznali, że za całą drużynę wystarczy jeden Sadek.

Istotnie, zespół nie jest równy — przyznali piłkarze ŁKS. A najsłabszym jego punktem — i tu mam czyste sumienie, że nie zdradzam tajemnicy przeciwnikom naszej drużyny, bo i tak o tym wszyscy wiedzą — jest obrona. Słabość tę potwierdza przesunięcie właśnie do obrony doświadczonego zawodnika Piotra Suskiego, normalnie grającego w drugiej linii, która — jak twierdzą fachowcy — powinna być mózgiem zespołu. A po przesunięciu Suskiego, w drugiej linii pozostali młodzi, mało doświadczeni zawodnicy.

Wygrany mecz — to przede wszystkim bramki strzelone przeciwnikom. Ale kto ma je strzelać, skoro z atakiem ŁKS można sobie łatwo poradzić. Najlepszego strzelca, Jerzego Sadka, zwykle pilnują przeciwnicy. I tu bym się nie zgodziła, że za całą drużynę wystarcza tylko jeden Sadek, bo właściwie zostaje tylko Jan Mszyca, którego nikt nie pilnuje, ale który — jak sam mi się przyznał z rozbrajającą szczerością — jesienią dobrze grać nie umie. A więc do wiosny!

— Na boisku musi być jedenastu zawodników, którzy się dobrze rozumieją — stwierdził trener ŁKS, JÓZEF WALCZAK. — Jesienną rundę w extraklasie zaczęliśmy jednak tylko z czterema zawodnikami, którzy grali poprzednio w I lidze. Pozostali muszą dopiero „ograć się" na I-ligowych boiskach. Potrzeba na to czasu. Potrzeba też dopływu nowych graczy, bo nie wystarczy tylko jedenastu zgranych zawodników. Drużyna musi też posiadać dobrze przygotowaną rezerwę. A to nie takie proste.

SKĄD WZIĄĆ PIŁKARZY?

— Spadną czy nie spadną?

— Nie spadną! — odpowiedział dawny piłkarz ŁKS, dziś trener „Widzewa", LESZEK JEZIERSKI. — Wiosenna runda nie będzie łatwa, ale jeśli zespół dobrze się przygotuje i lepiej ustawi swój skład, to jest w stanie wyprzedzić „Stal" Rzeszów i „Szombierki", które także cierpią na brak dobrze przygotowanych piłkarzy. Moim zdaniem, kadrowe kłopoty ŁKS i innych I-ligowych drużyn, to wynik niewłaściwego systemu szkolenia piłkarzy. Mieliśmy kiedyś dobre szkółki „Włókniarza" i „Hali Sportowej" i byliśmy przykładem dla całej Polski. Ale zaczęliśmy eksperymentować. Bez rezultatu. Może więc wrócić do dobrych wzorów?

Szkolenie młodej kadry piłkarzy, to niewątpliwie rzecz bardzo istotna, ale pragnęłabym przypomnieć, że do wiosennej rundy pozostały tylko trzy miesiące i wyszkolić nowych zawodników będzie raczej trudno. Zespół ŁKS obiecał czasu tego nie zmarnować, a klubowi działacze sportowi mają rozejrzeć się za nowymi zawodnikami. Tylko skąd ich wziąć?

Współpraca między łódzkimi klubami sportowymi — skarżą się ełkaesiacy — kończy się w momencie awansu jednej z drużyn. ŁKS mógłby dać zespołowi „Startu" lub pabianickiego „Włókniarza" zawodników grających na przyzwoitym, II-ligowym poziomie, a wziąć od nich tych piłkarzy, którzy mieliby lepsze możliwości rozwoju w I-ligowym zespole. Ale oba kluby nie chcą się na to zgodzić.

Okazuje się, że ta pozornie prosta zamiana urasta do niemal prestiżowego dla Łodzi problemu. Aby go rozwiązać, trzeba sobie najpierw odpowiedzieć na pytanie: Co się lepiej opłaca — mieć jeden dobry zespół w I lidze i jeden dobry w II, czy kilka słabych drużyn? Z punktu widzenia miasta, odpowiedź jest prosta. Ale ja się nie dziwię klubom, że każdy chce mieć drużynę. Niechby i słabą, ale własną.

I tak wróciliśmy do punktu wyjścia, w którym jedynym sensownym rozwiązaniem wydaje się szkolenie młodych piłkarzy. Nie jest to wprawdzie rozwiązanie rychłe, ale skuteczne.

— W łódzkich warunkach praca z młodzieżą jest bardzo trudna — stwierdził wiceprezes ŁKS do spraw piłki nożnej, dyr. JAN MORAWIEC. — Słyszymy ciągle pretensje, że kluby nie szkolą młodych piłkarzy, ale nikt nie zastanawia się, gdzie mamy to robić. Zdarza się przecież i tak, że w poprzek jednego boiska trenuje stu zawodników, a w tym samym czasie niektóre, dobrze urządzone boiska w Łodzi świecą pustkami.

W tym momencie uświadomiłam sobie, jak to trudno być dojrzałym kibicem. Obserwując grę swojej drużyny, powinien on pamiętać o niedostatkach kadrowych, trudnościach szkoleniowych, braku boisk i pomocy innych klubów. Dobrze, że chociaż piłek nie brakuje.

— Ale brakuje masażysty — powiedział, jakby czytając moje myśli, JERZY SADEK. — Na meczach wyjazdowych masażystę zastępuje trener. A dla mnie dobry masażysta, to o dwa lata dłuższa kariera.

— Klub ma pieniądze na masażystę — odpowiedział mu wiceprezes J. Morawiec.

Ale jakby na ironię okazało się, że w Łodzi trudno również o masażystę. W zamian chcą drużynie ŁKS zafundować... psychologa. Gratuluję!

PIŁKA I SERCE

— Spadną czy nie spadną? — zapytałam następnego rozmówcę.

— Jeśli będą grali tak, jak dotychczas — westchnął dyrektor ZM im. J. Strzelczyka, inż. JERZY WRĄBEL — to chyba spadną. Forma piłkarzy ŁKS świadczy o tym, że są albo niedotrenowani, albo przetrenowani. Każdy łodzianin chciałby, aby ŁKS był mistrzem. A rzeczywistość jest taka, że kibice mają dużo serca dla drużyny, natomiast nie widać tego serca w drużynie.

Tak się dziwnie złożyło, że zaraz po tej rozmowie opowiedziano mi plotkę o trzech piłkarzach ŁKS, którzy zachorowali na serce. Podobno z przetrenowania. Nie przejęłam się najnowszą plotką o ŁKS i dlatego zapytałam zawodników tylko o serce w grze.

— Nie mam pretensji do zespołu — odpowiedział trener, Józef Walczak — bo chłopcy trenują uczciwie. Grają z sercem, ale czasem kryzys przychodzi zupełnie nieoczekiwanie. Tak było na meczu z „Zagłębiem", kiedy drużyna dobrze grała w polu, a mimo to przegrała mecz z winy obrony. I po tym fatalnym meczu przyszły następne.

Bądźmy sprawiedliwi. Dużo wymagamy od drużyny, ale nie zawsze potrafimy stworzyć na trybunach ŁKS właściwą, sportową atmosferę. Domagamy się na przykład, aby wprowadzić do drużyny młodych graczy. Byłem kiedyś świadkiem, jak w czasie gry młody zawodnik zastąpił kolegę. Widownia przyjęła go śmiechem.

— O, patrzcie, dotknął piłki — krzyczeli moi sąsiedzi na trybunie.

Młody zawodnik czuł niechęć widowni i wcale mu się nie dziwię, że miał drewniane nogi. Przysłuchując się uwagom zacietrzewionych kibiców, którzy siedząc na ławce mają znakomite koncepcje, wiedzą jak i komu podać piłkę, i którą nogą strzelić gola, mam zawsze ochotę zaproponować im, aby sami weszli na boisko i pokazali, jak naprawdę powinno się grać.

WIDOKÓWKA DLA ZAŁOGI

— Spadną czy nie spadną? — powtarzałam z uporem swoje pytanie.

— Powinni spaść — odpowiedział tkacz, HENRYK DEJMA — żeby przestali nam psuć krew i nerwy. Ale jak spadną, to powinni z nimi porachować się w fabrykach, gdzie biorą pieniądze. W naszej też jest jeden taki, co dwa razy w miesiącu przychodzi po wypłatę. Mówiliśmy kiedyś nawet, że warto byłoby zaprosić go na zebranie i niech się przed załogą rozliczy ze swojej gry. Bo jak my coś spartaczymy, to nas biją po kieszeni.

Przekazałam tę opinię piłkarzom i okazało się, że w niektórych fabrykach robotnicy czekają przy wypłacie na przyjście zawodnika, aby sobie z nim porozmawiać. Są też bardzo zadowoleni, gdy dostaną widokówkę z pozdrowieniami od „ich" piłkarza. I dowiedziałam się jeszcze, że taki kontakt z załogą jest potrzebny i pożyteczny. Mam jednak co do tego niejakie wątpliwości.

— Dla mnie jest wszystko jedno, czy biorę pieniądze w fabryce, czy będę je brał w klubie — powiedział JAN MSZYCA i tym stwierdzeniem pogłębił moją rozterkę.

— Pieniądze to rzecz nabyta — uzupełnił wypowiedź kolegi GRZEGORZ OSTALCZYK — a punkty wywalcza się bardzo ciężko. Kiedy wchodzimy na boisko, nie myślimy o pieniądzach, chcemy grać jak najlepiej.

Ale sami piłkarze przyznają, że obecny system finansowania drużyn nie jest najszczęśliwszy. Uważają na przykład, że kluby powinny zawierać kilkuletnie kontrakty z zawodnikami, co z jednej strony wiązałoby ich z klubem, a z drugiej — dałoby klubom większą możliwość oddziaływania na piłkarzy. Moje wątpliwości okazały się więc słuszne. Albo zdecydujemy się utrzymać dotychczasowy system honorowania zawodników, ale wtedy ich kontakt z załogą fabryki nie może ograniczać się do widokówek. Albo szukajmy innych rozwiązań. Byle nie były to eksperymenty dla eksperymentów.

HAPPY-END?

— Spadnie czy nie spadnie drużyna ŁKS z I ligi?

— ŁKS to jest drużyna piłkarska, tak? — odpowiedział pytaniem znany i ceniony artysta malarz, KONSTANTY MACKIEWICZ. — Proszę pani, wszystko się zmienia. Ja się zmienię i oni się zmienią, im ktoś nogę podstawi i mnie ktoś nogę podstawi. I jak tu można przewidzieć, kto i kiedy spadnie?

Ale ełkaesiacy są innego zdania.

— Nie spadniemy — zapewnili mnie optymistycznie. — Musimy realnie ocenić nasze szanse i możliwości. Uważamy, że z tych zespołów, które razem z nami zajmują dolne pozycje w tabeli, utrzymają się te, które będą grały rozsądnie. I musimy grać rozsądnie, bo zdajemy sobie sprawę, że jak tym razem spadniemy do II ligi, to z tego upadku możemy się już nie podnieść.

Nic dodać, nic ująć, tylko życzyć, aby wiosną ŁKS grał i rozsądnie i skutecznie. A życzy im tego cała Łódź, bo i moi rozmówcy, którzy pesymistycznie oceniali ich położenie, na końcu dodawali, że życzą im jak najlepiej. Ja też, choć zdaję sobie sprawę, że jak im, nie daj Boże, ktoś podłoży nogę, to mogą mieć pretensje i do mnie. Bo powiedzą, że wszystko już dobrze się układało, ale przyszła jedna taka pani i zapeszyła. Więc na wszelki wypadek odpukajmy w nie malowane drzewo pod świątecznie zastawionym stołem.

WŁODZIMIERZ MITIN

NIECH SCZEZNĘ!

Zdecydowanym i szybkim krokiem młody i bardzo głodny Aleksander Katow szedł na przyjęcie do małżonków Merinych. Kochał się potajemnie w pani domu, ale oprócz tego sam gospodarz miał mu pokazać nową płytę „Bombersów". Wyobraźcie sobie jego przerażenie i rozpacz, gdy żaden z długich dzwonków do mieszkania Merinych nie dawał pożądanego rezultatu.

Katow usiadł na podwórzowej ławce i ze złością trzasnął w opakowanie tortu za sześćdziesiąt sześć. Następnie spojrzał w okna mieszkania Merinych i zamarł: w mieszkaniu ktoś był! Widać było latające jasne punkty, a po ścianach pełzał czyjś powiększony do niezwykłych rozmiarów ptasi cień.

„Czy to przypadkiem nie pożar?" — myślał Katow, pędząc w górę po schodach i już oczyma duszy widząc siebie, jak lekko przypalony, lecz wciąż jeszcze elegancki, wynosi trochę zemdloną i wydekoltowaną panią Merinę...

Okazało się, że to nie był pożar. Pan domu, słysząc głośne pukanie, otworzył drzwi i powiedział:

— A, to ty, Sasza... No wejdź... Zapomnieliśmy uprzedzić, że dzwonek jest zepsuty.

Merin chwycił gościa mocno za rękę i poprowadził do pokoju, z tym, że Katow dwukrotnie boleśnie uderzył się o jakieś niewidoczne w ciemności przedmioty.

— A niech to! — rozcierając nogę powiedział Katow, gdy zobaczył świece gęsto rozstawione na stole. — Cudownie!

Gospodarz w biegu, ze zdławionym jękiem, usiłował złapać sopel woskowy, spadający prosto do puszki z sardynkami, ale wszystko skończyło się jedynie na stłuczeniu kieliszka...

— Jak to się mówi, na szczęście — wymamrotał Merin. — O, ścierwo, znowu kapie... Widzisz, nawiązując do bieżącej mody, jak to się mówi, idąc z duchem czasu, postanowiliśmy zorganizować wieczorne przyjęcie przy świecach... Soul toi de Paris, krótko mówiąc... Kochanie! Mamy gościa!

Z kuchni dało się słyszeć jak gdyby spadanie wody z Niagary. Głośno stukając gołymi stopami o podłogę weszła gospodyni z roztrzepaną fryzurą.

— Przepraszam — powiedziała, trzymając ociekającą szmatę w ręku. — Zaraz wytrę w kuchni i przyjdę.

Katow zobaczył na jej twarzy coś, co przypominało wielką, ciemną plamę. Oprócz tego małżonkowie rozmawiali ze sobą takimi głosami, jakby jedno drugiemu nalało przed chwilą kielich trucizny.

— Co się stało? — szepnął wzburzony Katow. — Dlaczego świece też są... w korytarzu? Cóż to? Lodówka przecieka?...

— Cieknie — z kokieterią w głosie powiedziała Merinowa, starając się wyżąć szmatę w taki sposób, aby oblać gościowi buty. — Wszystko płynie... Ale niech pan już idzie do pokoju...

(Dalszy ciąg na str. 17)

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Piosenki z lewej ręki

Przepraszam najuprzejmiej, bo może nie jestem do tego powołany, ale chciałem właśnie podsumować owocną działalność Estrady Łódzkiej za ostatni rok.

Zaraz rozpocznie się karnawał, w noc Sylwestrową chałturni scenokrążcy przydadzą blasku naszym kinom tak zwanymi wesołkami, a jak dobrze pójdzie, to z początkiem marca wystąpi w Pałacu Sportowym znakomity polski piosenkarz, Franciszek Kapusta. Wszystko to napawa mnie niesłychanym optymizmem. Przyszłość roztacza przed nami szerokie perspektywy. Lecz miniony okres, przepraszam najuprzejmiej, też obfitował w sukcesy i był najwłaściwszym treningiem organizacyjnym przed sprowadzeniem do Łodzi Franciszka Kapusty. Lokalna Estrada rozsławiła przecież imię naszego miasta aż po krańce kraju, goszcząc raz po raz na łamach centralnych i prowincjonalnych gazet. I tak na przykład w „Trybunie Ludu" ukazała się szesnastego lutego notatka pod tytułem „Popisy Estrady", z której wynika, że łódzcy organizatorzy urządzili we wrocławskim Teatrze Polskim koncert, gdzie wedle wybitych drukiem i rozlepionych na murach plakatów, miała wystąpić reprezentacja gwiazd pierwszej wielkości: Irena Dziedzic, Jerzy Górny, Janina Jaroszyńska, Cezary Julski, Emil Karewicz, Stenia Kozłowska, Stanisław Mikulski, Joanna Rawik, Andrzej Rumian i Nina Urbano. Tymczasem, po zapadnięciu kurtyny, okazało się, że treść plakatów była dowcipnym, potraktowanym z wyprzedzeniem grypsem primaaprilisowym, bo z licznej wymienionej drukiem plejady, wystąpiły tylko trzy osoby: Dziedzic, Urbano (nie mylić z Urbanem) i, jak sugeruje wspomniana notatka, wątpliwej jakości konferansjer, Jerzy Górny.

Niebawem posypały się w „Trybunie" inteligentne i rzeczowe sprostowania. Dyrektor Estrady Łódzkiej, pan Jerzy Burski, napisał między innymi („TL" — 13. III. 1971 r. — nr 72/8089):

„(...) Nie przewidzieliśmy jednak, że kierownik, reklamując występy artystów podanych w afiszu, nie dopełnił obowiązku podpisania z tymi wykonawcami wiążącej umowy" (...). Estrada Łódzka w związku z tym udzieliła nagany z wpisaniem do akt personalnych kierownikowi zespołu — z równoczesnym zastrzeżeniem, że w przypadku powtórzenia się podobnych błędów dyrekcja będzie zmuszona zrezygnować z jego dalszej współpracy".

Bardzo mi się ta riposta spodobała, choć sformułowanie Burskiego o kierowniku, co to w zasadzie był w porządku, zapominając jedynie podpisać z przechernymi i nieuczciwymi wykonawcami wiążącej umowy, wydaje się nieco naciągnięte w świetle tego, co zamieścił w „Trybunie" zainteresowany Emil Karewicz:

„(...) Uprzejmie wyjaśniam, że nic mi nie wiadomo, jakobym miał brać udział w występie we Wrocławiu w dniu 1 lutego br. Nikt z tego rodzaju propozycją do mnie się nie zgłaszał a o umieszczeniu mego nazwiska we wrocławskiej prasie (i na afiszach — przyp. A. M.) zapowiadającej ten koncert, dowiedziałem się z notatki w „Trybunie Ludu".

Sprawa tego pysznego żartu organizacyjnego, przysparzającego, przepraszam najuprzejmiej, tak potrzebnych naszej Estradzie pieniędzy, oparła się podobno o Ministerstwo Kultury i Sztuki. Oto do czego prowadzi ludzka zawiść i złośliwość.

Ale przytomni, dzielni łódzcy organizatorzy nie załamali się tym chwilowym niepowodzeniem i wykręcili ogłupiałej publiczności — tym razem w Zielonej Górze — kolejny dowcipny numer. Była to robota prosta, ale dokładna, przeprowadzona w myśl dewizy: jak mają przepić w knajpie, to niech lepiej przyniosą groszaki do naszej kasy, a my im, tak czy owak, trochę porzympolimy i zaśpiewamy. Poprzedni, spalony tytuł imprezy z Wrocławia „Dzień dobry, piosenko!" został w Zielonej Górze podmieniony na „Wieczór w towarzystwie" (he! he!). Znowu posypały się w anonsach i na plakatach rewolwerowe nazwiska i pseudonimy ludzi z wyżyn towarzyskich, natomiast na estradzie brylowali trzecioligowi wykonawcy, toteż przewidziana na długi, wielomiesięczny cykl składanka została storpedowana przez pozbawionych poczucia humoru i rzeczywistości odbiorców oraz działaczy kulturalnych. Najpierw wysiudano „Wieczór w towarzystwie" z miasta na zapadłą zielonogórską prowincję. Ale i tam ludzie nie chcieli takiego towarzystwa. Oburzone kompetentne instytucje rozpoczęły bombardować listami odpowiednie wydziały kultury, Komitet Wojewódzki w Łodzi oraz Ministerstwo. Co robi na to pan Burski? A no, zgodnie z oświadczeniem w „Trybunie Ludu", poudzielał ponoć licznych nagan (czystka, panowie, odnowa i czystka!) oraz wywalił z pracy odznaczającego się dużą inwencją kierownika.

Przez chwilę wokół Łódzkiej Estrady zapanowała grobowa cisza. Wydawało się, że ożywionej działalności rozrywkowej nikt już wskrzesić nie zdoła. Było to jednak niczym nie uzasadnione czarnowidztwo, bo oto spektakl „Dzień dobry, piosenko!" vel „Wieczór w towarzystwie" został znowu przez innego sprytnego (ludzi zdolnych w Estradzie nie brakuje, trzeba ich tylko umieć wykorzystać) organizatora podmieniony na „Hej, tak w Polskę iść" i cały młyn, a było to w lipcu na Ziemi Koszalińskiej, zaczął się od nowa...

W numerze 192 „Głosu Słupskiego", organie Komitetu Wojewódzkiego PZPR, znowu przeczytaliśmy, jakie radosne, rozsławiające imię naszego miasta doniesienia z frontu pod niesprawiedliwym tytułem:

PRZECIW ORGANIZATOROM—NACIĄGACZOM

NIE CHCEMY TAKICH IMPREZ!

Oto przytoczony w całości artykuł:

„Reprezentanci Łódzkiej Estrady, odwiedzając wiele zakładów pracy i placówek kulturalnych w naszym województwie, oferowali radom zakładowym fantastyczny wręcz zestaw nazwisk. Wymieniono największe sławy polskiej sceny rozrywkowej zapewniając, że program pod nazwą: „Hej, tak w Polskę iść" gwarantuje doskonałą zabawę na wysokim poziomie artystycznym. Ponieważ imprez nie ma teraz zbyt wiele, działacze rad zakładowych godzili się na płacenie po czterdzieści złotych za bilet. I potem zaczęło się. We wtorek wieczorem rybacy z Ustki daremnie czekali na artystów. Zespół wyjechał do Sławna a usteckim rybakom oferowano dojazd na występ w... Darłowie. Dziś, znając już ocenę wtorkowego występu reprezentantów Łódzkiej Estrady, możemy powiedzieć, że — poza pieniędzmi — rybacy nie mają czego żałować! Bo w Sławnie wrze. Ludzie chodzą rozjątrzeni, gdyż dali się nabić w butelkę. Występ miał się odbyć w sobotę. Przeproszono gospodarzy — sławieński PDK za zawód, podając jako przyczynę odwołania imprezy chorobę Igi Cembrzyńskiej. Występ odbył się we wtorek, bez Igi Cembrzyńskiej, ale tym razem nikt się już nie usprawiedliwiał, ani niczego nie tłumaczył. Po prostu — artystki nie było. Nie było wielu rzeczy, przede wszystkim zaś wysokiego poziomu i dobrej zabawy. Regina Pisarek, chcąc ratować sytuację, występowała osiem czy dziesięć razy. Oczywiście zebrała wiele braw, które jednak nie mogą jej zbytnio cieszyć, bo wystąpiła w miernym towarzystwie, właściwie bez konkurencji. Konferansjer i parodyści doskonale parodiowali tylko jedno — występy artystyczne na dobrym poziomie. I to im się udało — parodia była. Impreza zapowiadana na godzinę dwudziestą, zaczęła się z prawie półtorogodzinnym opóźnieniem, a zakończyła po godzinie dwudziestej trzeciej".

„Wspominamy o tym nie tylko dla podkreślenia, że i pod tym względem zlekceważono publiczność — PISZE NA ZAKOŃCZENIE „GŁOS SŁUPSKI". — Wiele biletów sprzedano załogom państwowych przedsiębiorstw rolnych spoza Sławna, obiecując dowóz autokarem. Ci ludzie bardzo późno wrócili do domów — autokaru nie było, a następnego dnia czekała ich normalna praca i to od wczesnego rana. Z winy nieodpowiedzialnych impresariów, zamiast ludzi zabawić, zdenerwowano ich, wydręczono i na dodatek — mocno zawiedziono. Domagamy się przeprowadzenia szczegółowego śledztwa w tej sprawie. Trzeba karać naciągaczy, nieodpowiedzialnych organizatorów. Przede wszystkim jednak pędzić ich precz z naszego województwa. Wydział Kultury Prezydium WRN jest władny tego dokonać. Łódzkiej Estradzie jesteśmy wdzięczni tylko za jedno: mamy hasło akcji, którą należałoby prowadzić długofalowo. Po przeczytaniu tytułu omawianego programu i doniesieniach z powiatów — wszystkim naciągaczom, zespołom tworzonym na lato dla zebrania grosza w pegeerach, mieścinach, Polsce powiatowej, będziemy mówić bez ogródek: Hej tam, z Polski won!!"

Nie wiem, jak ostatecznie zakończył się ten lament chłopów na niedobre pany i czy dyrektor Burski znowu

poudzielał szczodrą ręką nagan i wymówień z pracy, której, chwalić Boga, dla autentycznie utalentowanych organizatorów i kierowników o zacięciu hochsztaplerskim nigdy nie zabraknie...

Tylko z gazem panowie! I znowu, przepraszam najuprzejmiej, drogą delikatnej podmiany pchniemy jakoś ten wózek do przodu.

Tytuł imprezy można zmieniać w nieskończoność. Ba, przy odrobinie pomyślunku, można nawet zmieniać nazwiska...

Estrada Łódzka ma pod tym względem wspaniałe doświadczenia.

Przypomnijmy sobie, jak to było w ubiegłym roku. Pojechali w województwo wrocławskie, przytomni nasi emisariusze oraz ich wierni dystrybutorzy i zaczęli odwiedzać zakłady pracy proponując stękającym z nudy przedstawicielom rad zakładowych bilety na koncerty Maryli Rodowicz, która wówczas przeżywała szczyt popularności. No, to szły te bilety jak woda. Pęczniało estradowe kabzisko. A macherzy uśmiechali się pod wąsem (bo teraz macherzy noszą wąsy), gdyż zamiast Maryli Rodowicz dysponowali usługami ciut ciut gorszej piosenkarki o bardzo jednak podobnym nazwisku: Maryla Lerch.

Trzeba było zobaczyć, jak raz po raz baraniała widownia, kiedy na sceniczne dechy zamiast tej długo- i jasnowłosej Maryli wchodziła dziarskim krokiem Maryla krótko i rudowłosa, a zamiast „Jej gitarzystów" pojawiał się dysponujący znakomitą aparaturą łódzki zespół „Vox Remedium". No, mówię wam, ile było śmiechu! A o to przecież w końcu chodzi. Dla ponuraków nie ma miejsca na widowni. A w życiu nie ma miejsca dla frajerów. Inteligentny impresario zawsze znajdzie sposób, żeby wykroić ochłap dla swoich, nie krzywdząc przy tym instytucji macierzystej, która od lat jedzie na deficycie, nie mogąc związać końca z końcem. Inteligentny impresario zawsze potrafi się jakoś wytłumaczyć: „Ci z rad zakładowych musieli się chyba przesłyszeć, imię to samo, głos podobny, a że nazwisko i włosy trochę inne, to już, niestety, nie moja wina". I w ten sposób, mimo licznych protestów, składanka z Marylą dojechała aż do Świebodzic, gdzie znowu znaleźli się ludzie bez poczucia humoru i napisali do gazet pełne niesłusznego oburzenia listy. Ale choć program został zwinięty, na krytykę prasową tamtejszych gazet nikt z organizatorów nie odpowiedział i niewinny incydent uległ zatuszowaniu.

Zatuszowaniu uległ też incydent z podrobionym na maszynie listem najwyższych władz PRL, za pomocą którego kierownik zespołu „Realistów" szturmował organy władzy na terenie województwa łódzkiego, zmuszając je drogą tego niewielkiego oszustwa do pomocy w masowym sprzedawaniu biletów opornym zakładom pracy. Była to koronkowa robota, choć sam glejt wyglądał jeszcze bardziej prymitywnie i naiwnie niż legitymacja poselska obywatela elewa Prędkiego (tego chłopca, co kontrolował przedsiębiorstwa komunikacyjne). Znalazł się jednak w końcu ktoś przytomny, zawiadomił Komitet Wojewódzki i dyrektor Burski znowu miał drobne kłopoty.

Dawno też uległa zapomnieniu bardzo pouczająca dla wszystkich organizatorów sprawa tego działającego w pojedynkę, byłego estradowca, co to z powodu ulewy przebrał się kiedyś w mundur i hełm, żeby wpaść jak burza do pegeeru, wołając od progu: dawać mi tu prezesa i głównego księgowego! Były estradowiec miał poczciwe zamiary: chciał po prostu opchnąć trochę biletów na koncert prowadzonego przez siebie, dzikiego zespołu, ale widząc mundur i hełm pegeerowcy wpadli w panikę, gdyż mieli na sumieniu autentyczne machlojki i pomyśleli, że się to wszystko wydało. Co zrobił prezes? Ano, wyniósł się chyłkiem do stodoły i usiłował popełnić samobójstwo. I tak oto dzięki naszemu dzielnemu byłemu estradowcowi malwersacja ujrzała światło dzienne, bo jeden z referentów, niewielki zastraszony człowieczynka, zaczął nagle podskakiwać, zacierać chude rączki i krzyczeć z radości, patrząc mściwie na głównego księgowego: „A dobrze wam tak, złodziejaszki, dobrze!"

W zasadzie były estradowiec powinien otrzymać za swoje zasługi wysoką nagrodę.

Nie zawsze jednak rozmach i mołojecka fantazja zostają odpowiednio doceniane. Ot, weźmy dla przykładu na warsztat historię innego byłego estradowca, który złapawszy w tej instytucji odpowiedni szlif i drugą prędkość kosmiczną — postanowił później — już solowo, w zakresie własnych możliwości — zrewolucjonizować polską rozrywkę poprzez zorganizowanie na Stadionie Dziesięciolecia walki byków. Podobno pertraktował w tym względzie z czwartorzędnymi matadorami hiszpańskimi kusząc ich obietnicami dużych zysków. Ale sprawa nie znalazła gdzie trzeba odpowiedniego zrozumienia i dzięki temu, albo raczej: przez to — nie będziemy oglądać ani w Warszawie, ani na stadionie ŁKS szarży rozjuszonych krów na czerwone prześcieradło.

Odbiegłem trochę, przepraszam najuprzejmiej, od problemów ściśle związanych z działalnością naszej dzielnej agencji. A przecież robi ona wszystko dla ożywienia życia kulturalnego w kraju. Kilkunastu jej funkcjonariuszy przyjechało samochodami do Opola na Festiwal Piosenki. Ależ pracowali! W kuluarach zwijali się jak w ukropie! Wprawdzie nie przyniosło to Łodzi żadnych efektów w formie koncertów z atrakcyjnymi wykonawcami, ale za to pozostały piękne wspomnienia. Przecież właśnie w Opolu dyrektor Burski rozbił w wypadku drogowym drugi już na przestrzeni kilku miesięcy samochód służbowy, wzbudzając zrozumiałą sensację w artystycznym światku. Przecież właśnie w Opolu, grupa wyspecjalizowanych organizatorów rozpoczęła starania o sprowadzenie do robotniczego miasta czołowych sprawdzonych już wcześniej w programie „Dzień dobry, piosenko" vel „Wieczór w towarzystwie" vel „Hej, tak w Polskę iść" wykonawców.

Oj, będziemy mieli w Łodzi Franka Kapustę.

— A Joanna Rawik będzie?

— Może i będzie.

— A niejaki Woźniak będzie?

— Jeśli jeszcze przędzie.

— I kto jeszcze będzie?

— Będą jeszcze zapewne Wesołki Sylwestrowe, no i kilka innych przaśnych numerów, których tymczasem, przepraszam najuprzejmiej, nie można z góry przewidzieć w programie.

Wiersze o Polsce

GRIGORIJ PIETNIKOW

Poranna Łódź

Rozpoczynam się
Wychodząc ze srebrnoczarnego płomienia nocy —
Normalnie — jak w każdym wielkim mieście:
Podnoszę się
Nie w śródmieściu, gdzie śpią jeszcze
Albo kładą się spać
Ludzie nocnej zmiany —
Telefonistki z międzymiastowej po dyżurze,
Poeci,
Metrampaże i stróże nocni.
My wstajemy wcześnie,
Tkacze i prządki,
Znający tajemnice swojej pracy i sekrety mistrzostwa,
Nie akcentujący naszego piękna.
Nie to nam w głowie:
Śpieszymy się,
by wyjść z labiryntów,
Z prześwietlonych studzien snu,
Z domów
Czy też z ładowni gigantycznych łodzi,
Które płyną przez półmrok przedświtu
Kiedy gwiazdy anulował już
Ołowiany ołówek —
Ku brzaskowi,
Którego nie ma jeszcze.
Pozdrawiają nas dymy
niewidzialnych pochodni,
Ulotne dymki
kopcących świec,
Dymiska, co się wykłębiają
z szarych mis,
Podobnych z dala do krematoriów przeszłości,
Widzicie nasze twarze
W półmroku jesiennych ulic
Przy bramach, pod murami pełnymi poczucia własnej
powagi,
Pod parkanami,
Gdzie drzewa żyją
Życiem onieśmielonym.
Oddychają z trudem
I posępnie garbią barki konarów.
Wiedzą wszelako,
Że jeśli są gdzie szczególnie potrzebne
to tu.
Posadzono je — tu,
Żyć im i — być —
tu.
W tym się zawiera szczęście i radość
Tych pięknych znużonych drzew
Na Bałutach,
Na Żabieńcu, na Widzewie.
Widzicie
Twarze dziewcząt naszych
Od maszyn!
Jeszcze stoją pustkami
zwilgotniałe ławki na
skwerach,
Ale serca tych,
których napotykałem tu wczoraj
Rozświetlone są szczególniejszym blaskiem.
To — światła!
To one!
Zwiastuny życia... Dzieci!
Otwierają się już
kramiki i duże sklepy.
I od drzwi, od bram
Rozpoczyna się schrypła rzeczowa rozmowa.
Poskrzypują już lekkie drabinki
z rusztowań
Po których wspinają się budowlani,
Montażyści
wielopiętrowoszarych gmaszysk,
Byście widzieli potem,
Wy,
A może i my,
Jaśniejący widnokrąg —
I w tej samej chwili,
W tej właśnie chwili
Wschodzi ognistoczerwony dysk:
Obiecuje porankowi istnienie.
Rozdziera koce mgły —
I poranna Łódź mówi:
— Nasza pierwszoporanna audycja dobiegła
końca.
Teraz zabiorą głos warsztaty.
Syreny. Silniki.
Robocze dłonie
I — oczy.

1968

Przełożył: *Witold Dąbrowski*

SALVATORE INCORPORA

Odległość

Tam
chłodny wiatr w twoim kraju
a tu słońce wśród traw
i pobłyskuje pomarańcza

A jednak pamiętam
twój polski wojenny chleb
przyjazne ciepło twojej czapki
zdjętej
kiedy dał znak
obersturmbahnführer

A potem
dłonie wznieśliśmy nad ruinami
nad Polską biało-śnieżną
by nie zobaczyć się już więcej

Odległość

Między Bałtykiem a Morzem Jońskim
mury tak wielu miast

Przełożył: *Jerzy Wilmański*

GOTTFRIED KELLER

Pieśń o Polsce

W kałuży własnej posoki
Biały orzeł się zmaga,
Podcięte jego skrzydła,
Złamana jego odwaga.
Już coraz słabsze rzężenie
I dni coraz krótsze się znaczą;
Ludy zebrane wokoło
Nad jego trumną płaczą.

Płakać surowo wzbronione,
I tylko ból zęby zaciska.
Miliony łez na dnie serca
Zmieniają się w popieliska.
Jeżeli wzejdą te ziarna,
Będzie urodzaj bez miary.
I wielka nastanie uczta,
Gdy się przepełnią puchary.

Świat jest okrągły; słońce
Po każdej nastaje nocy.
Okrągłe koło wozu
I szczęście kołem się toczy.
Upadnie orzeł czarny,
Biały powróci do siebie —
Nam czekać cierpliwie należy
I gwiazd wypatrywać na niebie.

Bywa, że ogień nieszczęścia
Krew starą na nową przepali
I życie niektórych narodów
Mocniejszym uczyni od stali.
Zbolałe twoje kości
Zorza poranna odmłodzi
I będziesz, Polsko, zakwitać
W nowym narodów ogrodzie.

r. 1844

Przełożył: *Jan Koprowski*

EDUARDAS MIEŻELAITIS

Nad grobem Adama Mickiewicza

(fragment)

. . . . . .
Osłania kryptę jak tulipanu
sutoczerwony kielich wypełniony cieniem
promień przedziwnego kwiatostanu —
gotyk cegieł pod sklepieniem.

(...memento mori)

A pod rośliną z gliny ostry relief.
Czy on z łąk nad błękitnym Niemnem rozciągnionych?
Czyż jeździec tak w Pogoni znad Wilii zdrożony?
Czy Jagiełło to sam?... Ku Jagielle
zdąża — marmur z marmurem się wita —
białoczoła polska Afrodite.
Skroń pochyla — dłoń z dłonią, biel z bielą —
Panna na majestacie — Jadwiga.
Na straży chwały czarnego grobowca
gwardia honorowa —
Cisza i
Wiek-wieków.

(...memento mori)

Prosimy jej nie przeszkadzać.
Ci gwardziści pod bezruchu władzą,
lecz nie śpią.
Można na barki włożyć
czarnej pleśni rogożę,
można płaszcz mroku nasiąkły
kroplami Styxu ciężkimi
zarzucić i przy tym Kamieniu
zastygnąć na krypty przekątnej —
jak strudzeni brodzeniem przez otchłań pielgrzymi.

Bo można...

Ale prosimy nie przeszkadzać gwardii:
Ciszy i Wiek-wiekowi,
I Jemu — Słowu,
co śmierci nie zna.

(...memento mori)
. . . . . .

Przełożył: *Tadeusz Chróścielewski*

KARL GEROLD

Warszawa

JANOWI DOBRACZYŃSKIEMU

Gdy chmury zamroczą
niebo promieniste
pamiętaj o tym —
jak często była noc
z której rodził się
błękitny dzień
wielkiego światła.

Gdy w krąg wrogowie
i zbrodnia goni zbrodnię
pamiętaj o tym —
człowiek nie jest sam
po każdej śmierci
wznosi nowe plemię
tęsknot twoich światła.

Warszawa wstaje
z dna boleści
pamiętaj o tym —
ze zgliszcz i gruzów
wyrasta drzewo pokoju
nachylone w przyszłość
wielkiego światła.

Przełożył: *Jan Koprowski*

IWAN BAUKOW

Dziewiąty dzień płonie Warszawa

Dziewiąty dzień płonie Warszawa,
Dziewiąty dzień żołnierze nie śpią
I tylko chmura kawek krwawa
Ponad pożarem w noc się niesie.

I Wisła, wyblakła od żaru,
Swawolną falą nie zadzwoni;
I Jan, twarz nachmurzywszy starą,
Na zachód patrząc głowę skłonił.

W kościele dogasają świece,
Ręka znak krzyża w mroku pisze,
Żarliwie ksiądz modlitwę szepcze
I wzywa Boga, żeby przyszedł.

Lecz milczy Bóg.
Zachód drga w łunach.
Faszysta nocami się sroży.
A stary Jan zbliża się ku nam
I czapkę zdjąwszy ukłon złożył.

Polki, których blask — śnieżny,
Na skrzyżowaniu polnych dróg
Z nadzieją patrzą na żołnierzy
I szepczą:
— Niech was wesprze Bóg.

I dają nam poprzez mgieł rosę
Kwiaty i oczu ciepły błękit,
Nam, przychodzącym tutaj z Rosji

Przez ogień artylerii gniewny.
A w dali wciąż płonie Warszawa,
Zupełnie tak jak Smoleńsk płonął,
I tylko chmura kawek krwawa
Szybuje ciężko w las uśpiony.

Przechodzą zbiegowie bosi.
I broń pancerna ziemię orze.
Tak samo jak wczoraj w Rosji
Pod Stalingradem
I pod Orłem.

1944

Przełożył: *Konrad Frejdlich*

JERZY WILMAŃSKI

Kuferek pełen kamieni

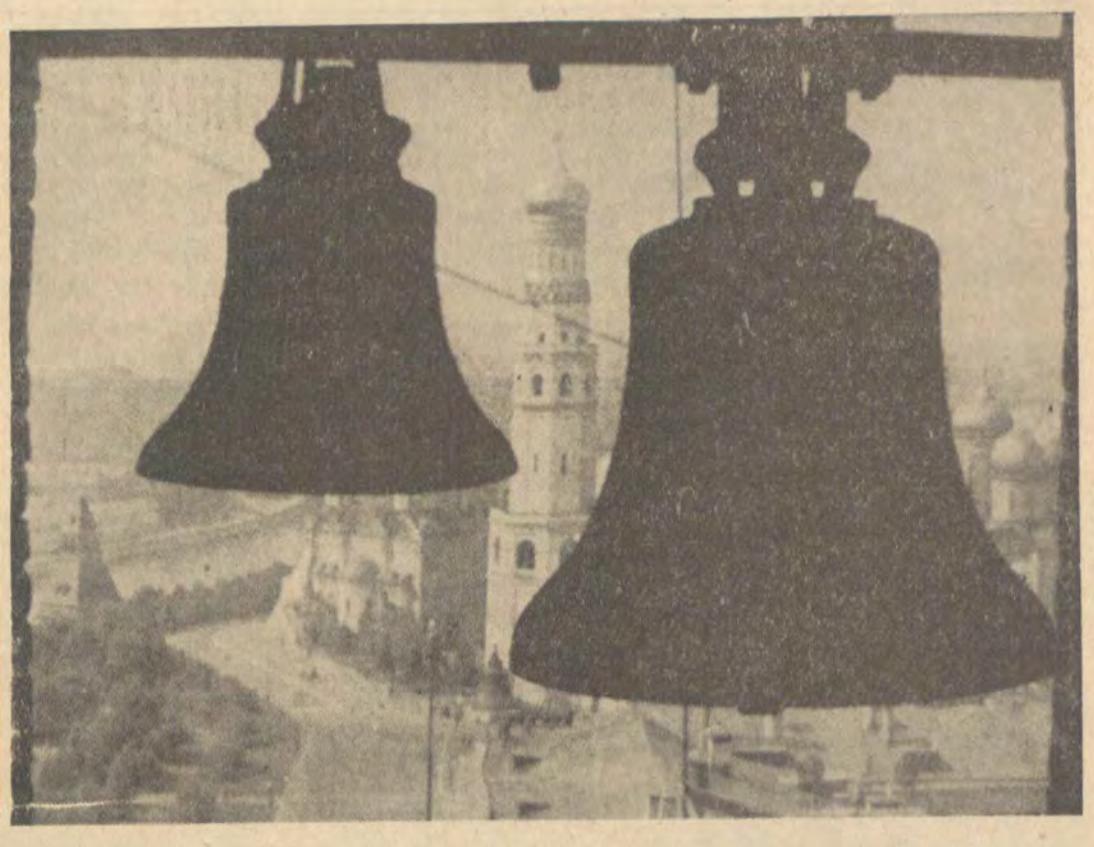

Na Prospekcie Kalinina wieje zawsze wiatr. Szeroka arteria, zabudowana kilkudziesięciopiętrowymi drapaczami ze szkła i aluminium kończy się nad rzeką. Prospekt zamyka gładka, otwarta betonowa księga gmachu RWPG — dalej za mostem żółtawy tort z piaskowca, lukrowany bogato ornamentacją — gmach hotelu „Ukraina". Dwa style, dwie epoki radzieckiego budownictwa.

Na Prospekcie Kalinina, tuż obok wielkiego salonu wytwórni płyt „Melodia", zagadnął mnie młody człowiek:

— Izwienitie, nie znajetie wy, gdie ulica Nieglinnaja?

— Nie znaju — odpowiadam zgodnie z prawdą — a czto wam na Nieglinnej?

— Tam balszoj magazin gramplastinek.

— Magazin gram - płastinek zdies na Kalinina — mówię, wskazując mu Salon „Melodii".

— Ja uże tam był, no w nich niet Okudżawy...

Coś mnie tknęło. — „Odkuda wy prijechali" — pytam. — „Iz Polszy" — pada odpowiedź.

Najpierw zacząłem się śmiać. Potem poszedłem z poznanym w ten sposób studentem ze Szczecina szukać płyt Okudżawy, choć przegrana to sprawa, nagrań było mało i bardzo dawno. W sklepach patrzano na nas dziwnie — popularność Okudżawy — duża w Polsce, tam — przyćmiona jest blaskiem gwiazd estrady typu Wielikanowa, Mondrus, Magomajew, czy Obiedinski.

Pointa tego, banalnego w końcu, zdarzenia miała miejsce w dwa tygodnie później. W dwuosobowym przedziale pociągu Moskwa — Warszawa — Berlin — Paryż zastałem już współtowarzyszkę podróży. Stereotypowe pytanie, dokąd jedzie i odpowiedź — „w Warszawu".

Drugi raz się nie nabiorę, więc pytam: „Pani Polka?" — „Niet" — pada odpowiedź — „no ja panimaju po polski". — Okazuje się, jedzie do pracy na Politechnice Gdańskiej — zresztą już po raz drugi.

Na Dworcu Gdańskim zająłem pani profesor kolejkę do taksówki, sam stanąłem na dalszej pozycji, nie śpieszyło mi się, a pani profesor miała zaraz pociąg z Dworca Wschodniego. Przede mną stał młodzieniec, dopytujący się o „Wostocznyj Wagzał". Rosjanin.

Kiedy pani profesor wsiadała do taksówki, kierowca wykrzykuje: „kto jeszcze na Wschodni?". Mówię więc młodzieńcowi, żeby się zabierał razem. Podchodzi do samochodu i z trudem, po polsku, pyta, czy można. Pani profesor, również po polsku, mówi: „proszu bardzo, niech pan wsiada...". Myślę, że w drodze na dworzec dogadali się jakoś.

Dwa zwykłe zdarzenia, którymi otworzył się i zamknął mój jesienny pobyt w Kraju Rad. A piszę o nich dlatego, że obfitowała ta moja podróż właśnie w zdarzenia niby zwyczajne, ale jakoś zaskakująco ciekawe, niebanalne...

Długa noc przegadana w domu poety Aleksandra Nikołajewa, któremu zawiozłem pierwsze egzemplarze wydanego w Łodzi zbioru jego wierszy. „Kanonada" nazywa się ten tom wierszy rosyjskiego poety, przeważają w nim motywy polskie. Sasza walczył w Polsce, w Gdańsku stracił rękę i uratowała mu życie polska dziewczyna, która oddała w polowym szpitalu swoją krew radzieckiemu żołnierzowi. Dziś Nikołajew mówi, że w jego żyłach płynie polska krew — i nie jest to tylko poetycka metafora.

Ten dom jest zresztą nasycony polskością i nie może doń nie trafić żaden pisarz z Polski. Opowiada Żenia Nikołajewa: „Pułkownik Zbigniew Załuski zrobił raz eksperyment. Otóż wybierał się do Związku Radzieckiego pisarz, Andrzej Safian. Załuski powiedział mu, że jest w Moskwie taki dom, do którego na pewno trafi, więc... nie da mu adresu, ani nie wyjawi nazwiska. „Zobaczymy — rzekł Załuski — czy się spotkacie". I rzeczywiście. Już drugiego dnia pobytu w Moskwie Safian meldował się telefonicznie Załuskiemu z mieszkania Nikołajewych...".

U Nikołajewych miałem też inne, niecodzienne spotkanie. Otóż jesienią cała Moskwa wylepiona była afiszami nowego filmu przygodowego dla młodzieży. Film nosi tytuł „Krok z dachu" i na plakatach uśmiechał się do przechodniów sympatyczny, kilkunastoletni blondynek.

Drzwi do mieszkania Nikołajewych otworzył mi... właśnie ów blondynek z plakatu. Jest to zresztą już któryś z kolei film, w którym Mitka — syn Saszy — z powodzeniem występuje. W rodzinnej legendzie Mitka słynie także jako znakomity przewodnik po Moskwie. Było to przed paroma laty, chłopiec miał wtedy siedem lat. U Nikołajewych gościł wówczas jeden z polskich pisarzy — również z siedmioletnim synem.

Pewnego dnia — tragedia. Chłopcy zniknęli. Dano znać milicji, już miały pójść w eter komunikaty radiowe, bo noc się zbliżała, a chłopcy nie wracali.

Kiedy wreszcie wrócili, okazało się, że Mitka zabrał rówieśnika z Polski na wędrówkę po Moskwie. Trzymając się za ręce przebyli pieszo i metrem wiele kilometrów tego kolosalnego miasta, byli na Kremlu i na Placu Czerwonym, wędrowali ulicami śródmieścia... Mitka nie znał słowa po polsku, Jacek nie znał słowa po rosyjsku.

— No, dobrze — mówią rodzice — szczęście, że nie stało się wam nic złego, ale na Boga, jak wyście ze sobą rozmawiali przez ten cały dzień. I o czym?

— O Napoleonie — padła zgodna odpowiedź.

Z Moskwy ruszyłem jednak dalej — celem mojej podróży był Palech, miasteczko skryte w lasach rejonu Górnej Wołgi, w obwodzie iwanowskim. I znów spotkanie niecodzienne, ze sztuką ludową, z ośrodkiem artystycznej miniatury.

Gładką szosą pędzimy na spotkanie paleszańskiej sztuki. Dzień był pochmurny; kiedy mijamy miasteczko Szuja (od nazwiska bojarów Szujskich), zaczyna kropić kapuśniaczek. Ale raptem, po kilkunastu kilometrach zza chmur wyskakuje słońce i w Palech wjeżdżamy już rozświetlony, w sztatazu brązów, czerwieni, żółcieni zwarzonych przymrozkiem drzew.

Wyroby paleszańskich mistrzów wędrują po całym świecie. Czasem w Łodzi, czy Warszawie kupić można owe szkatułki z laki lub malachitu, malowane w przebarwne sceny z bajek i legend, w żar-ptice i księżniczki, carewiczów i wojów...

— Laka? Malachit? Ależ to zwykła tektura — śmieje się Wołodia Żukow, iwanowski poeta, który mnie do Palecha przywiózł. Zwykła, beżowa tektura, łączona w kilka warstw klejem z żytniej mąki. Sklejone już i uformowane w odpowiednie kształty pudełka wrzuca się do olbrzymiej wanny z lnianym olejem. Po kilku dniach przesycone tłuszczem, kapiące złotymi kroplami, wstawia się do pieca. Tam, w temperaturze 150 stopni olej spieka się z tekturą. Po 12 dniach wyjmuje się twarde jak kość półfabrykaty. Potem nakłada się lakier — raz, drugi, trzeci — i za każdym razem suszenie w piecu.

I na tym koniec. Oto tajemnica paleszańskiej laki. Resztę, cały ten przebarwny, bajkowy świat, wyczarowują artyści na pierwszym piętrze miejscowej „Mastierskiej".

Wołodia schylił się i podniósł czerwony, suchy liść. Roztarł go w palcach na proszek i powiedział — „a farby masz tu wszędzie, prawdziwe kolory przyrody... Mieszane z kurzym żółtkiem dają barwę trwałą, pachnącą lasem i polem...".

W gablocie miejscowego muzeum znalazłem obok szkatułek, puderniczek i broszek także zwykłe kamienie, obłe, oszlifowane przez morskie fale. Nie większe od pudełka zapałek, ale zaludnione mnogim rycerstwem, bojarami, carami na tronach, wieżycami pradawnych grodów...

O tych kamieniach opowiada Wołodia Żukow: „Otóż po rewolucji skończyła się dla paleszańskich mistrzów era ikon. Po prostu nie było zapotrzebowania. Co robić dalej? O puderniczkach i puzderkach na biżuterię i drobiazgi nikt wówczas nie myślał — czasy były głodne i niespokojne. Artyści stanęli przed wyborem nowej tematyki, nowego tworzywa. Władza radziecka znała wartość wielowiekowej tradycji paleszańskiego malarstwa ikon. Nie chciano zagubić owego kapitału ludowego artyzmu, a już szczególnym opiekunem i rzecznikiem odnowy ludowej sztuki Palecha był Maksym Gorki.

Tak więc na Iwana Golikowa, najwybitniejszego wówczas twórcę miniatur, miało spaść jakieś szczególne wyróżnienie. Ale jak tu wyróżnić staruszka, jaka mogła być w tamtych pierwszych latach władzy radzieckiej realna nagroda? Postanowiono wysłać go do jednego z nielicznych wówczas kurortów nad Morzem Czarnym. Staruszek podobno się opierał — całe życie spędził tu, wśród lasów i równin nad Wołgą, daleka podróż napawała go lękiem. Ale pojechał. W owych czasach uzdrowisko nad Morzem Czarnym — to była naprawdę nagroda dla wybitnie zasłużonych.

Wrócił po dwu miesiącach. Do Palecha szedł od stacji w Szui piechotą — nie było wówczas drogi, autobusów — sześćdziesiąt kilometrów szedł Golikow z kuferkiem przez pola i lasy. Wszedł do domu i postawił bagaż na podłodze i wtedy zapytano: „jakie prezenty przywiozłeś znad tego dalekiego morza, z tych ciepłych krajów"?

Kiedy otwarto wieko, oczom rodziny ukazały się obłe kamienie, gładkie, wyszlifowane przez morze — idealne tworzywo do miniatur. Kamienie, jakich na tej ziemi nie znajdziesz. Pełen kuferek kamieni.

Stary artysta, tam, w promieniach ciepłego słońca, skazany na odpoczynek, tysiące kilometrów od swego Palecha, cały czas myślał na czym malować, kiedy drewnianą deskę ikony odrzuciła historia... I znalazł na plaży setki gładkich kamyków. Więc je przywiózł tutaj i tutaj pokrył pięknymi wizjami starorosyjskich legend.

Tak narodził się drugi — porewolucyjny etap twórczości paleszańskich mistrzów. I tak już do dziś kolorowy świat paleszańskich artystów mieści bajkę, pieśń ludową, legendę, wizje inspirowane przez strofy wielkiej poezji rosyjskiej — Puszkina, Lermontowa, Niekrasowa...

Czekały mnie jeszcze spotkania z tysiącletnim Suzdalem, z rosnącym szybko Iwanowem i przyjaciółmi, których mam wielu w tym mieście — ale chyba najcenniejsze było to spotkanie z legendą nieżyjącego już artysty. Wiem, że historię o kuferku pełnym kamieni można opowiedzieć jak błahą anegdotkę. Ale jest w tej opowieści jakaś wzruszająca prawda i czułość, które zrozumie każdy artysta. Stary Iwan Golikow z kuferkiem pełnym kamieni uosabia jakieś nadrzędne racje, tak ważne dla każdej sztuki.

Z mojej jesiennej podróży na Wschód przywiozłem także i swój osobisty, intymny kuferek, w którym wśród spotkań, refleksji, wzruszeń i nawet irytacji znajduje się i tych kilka zdarzeń. Czytelnik niech je przyjmie tak właśnie — jak kamyki z podróżnej mozaiki.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Tytuł sugeruje rzecz o narkotykach i narkomanach, gatunek filmu zaś — historię sensacyjno-kryminalną. A tak naprawdę „NARKOTYK" w reżyserii P. Granier-Deferre'a to film o jednej chłopskiej dynastii i jej aktualnym, samowładczym patriarsze. Nie znaczy to, że w filmie tym nie ma sensacji — wyliczmy tylko pięć trupów, gwałt, straszliwy pożar, przypomnijmy, iż przyczyną wszystkich zdarzeń, które miały nastąpić, stał się fakt znalezienia przez starego Augusta we własnym domu paczki heroiny, ukrytej przez jego wnuka. Ale to, co najbardziej w filmie fascynuje, to właśnie studium charakteru starego normandzkiego chłopa, postaci, której rodowodu szukać można chyba gdzieś w feudalnych czasach.

August swą gwałtowną i krwawą rozprawę z gangiem handlarzy narkotyków, którzy wciągnęli w swój proceder jego wnuka, prowadzi sam. Kieruje się własnym poczuciem sprawiedliwości i czując się panem ziemi, na której rzeczy się dzieją, sprawuje na niej pełną władzę. Podporządkowuje jej w imię honoru i tradycji całą swą rodzinę, kieruje zdarzeniami i walką, odgradzając siebie i swój ród barierą niezależności w stosunku do społeczeństwa, w którym żyją, a w szczególności wobec jego aparatu władzy.

Z uwag tych wnosić by można, iż historia ta w swym moralnym wydźwięku nie jest zbyt budująca. Pewnie to i prawda, lecz zasługą reżysera jest to, iż szalę ciężkości, co w tym wypadku oznacza uwagę widza, przesunął na to, co jest fascynującym rysunkiem postaci głównego bohatera, granego przez Jean Gabina. I tak naprawdę to wszystko, co w filmie jest, służy wyłącznie tej sprawie, co więcej — zdaje się służyć Gabinowi, któremu dano jeszcze jedną okazję utrwalenia w naszej świadomości typu bohatera filmowego, którego wcieleniem w dziejach kina jest właśnie Gabin.

Młodsi widzowie filmowi nie znają, bo i skąd, Gabina młodego, nie pamiętają „człowieka zza mgły", bohatera z filmów „Ludzie za mgłą", „Brzask" — twardego, kanciastego, lecz dobrego i czułego, trochę romantycznego mężczyzny, który królował na ekranach lat trzydziestych i czterdziestych. Starzejący się Gabin zmienił emploi, zaczął kreować role mocnych i szorstkich bohaterów, rzadko już ujawniających swe inne wewnętrzne życie, ta twardość zaczyna uosabiać coraz częściej bezlitosną walkę o mieszczański byt. Gabin w swych kolejnych rolach polityka, adwokata, finansisty — to po prostu twardy, nieustępliwy, walczący o swe miejsce solidny, francuski mieszczuch („Rekiny finansjery", „Gentleman z Epsom", „Wózek dla wnuka"). Ale Jean Gabin to także role w filmach „Towarzysze broni". „Noc jest moim królestwem", „Zbrodnia i kara", to aktor znakomity, urzekający typem i osobowością nie do powtórzenia.

Rola w „Narkotyku" to jakby suma wszystkich filmowych doświadczeń tego 67-letniego dziś aktora, który zachwycać może nadal siłą i żywotnością swego wielkiego talentu.

* * *

Hasło: „KTO ŚPIEWA — NIE GRZESZY", tyle samo zgrabne, co bałamutne, opatruje jugosłowiańską komedię muzyczną reżysera Kreso Golika. Jak trudny gatunek filmowy komedia ta reprezentuje, nie trzeba przekonywać widzów naszego „Mocnego uderzenia" czy „Miliona za Laurę". Jugosłowiański reżyser, specjalizujący się zresztą w twórczości komediowej, zdając sobie zapewne z tego sprawę, ratuje się trochę kostiumem. Zawsze film „z epoki", a lata trzydzieste to już „epoka", ogląda się z pewnym zmrużeniem oka, co komedii tym bardziej pomaga. Znalazł też reżyser dobry pomysł fabularny — jego oś stanowi bowiem pamiętnik małego chłopca, który opisuje z dziecięcym wdziękiem perypetie swych rodziców i krążącego wokół nich amanta.

Film przydaje też rzeczy, których mały Szafranek nie widzi, bądź nie tak, jak trzeba, komentuje. Rodzą się z tego więc i sytuacje całkiem zabawne. Bo i sami bohaterowie przysparzają sporo okazji do śmiechu. Typowi przedstawiciele szanującej się mieszczańskiej rodziny, mali w swych codziennych potyczkach, wielcy ale i żałośni w swych marzeniach, mogą nas mile bawić. Reżyser przez komediowe szkło im się przyglądając, nie oszczędza ich, ale i zbytnio nie gani — to już przecież historia — zdaje się mówić. Nazwał Golik swój film „komedią miłosną z piosenkami", ładnie to brzmi, choć szkoda, iż piosenki aż tak bardzo w ucho nie wpadają. Tłumaczyć to można i tym, że charakter piosenek współgra z modą czasów, w których żyli bohaterowie je wykonujący. „Kto śpiewa — nie grzeszy" to film, który cieszył się w Jugosławii ogromną popularnością, czy i u nas tak będzie — nie wiem, patriotyzm lokalny ochraniać go już nie będzie.

EWA NURCZYŃSKA

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

PO RAZ CZWARTY JUŻ (TRADYCYJNIE W ŚWIĄTECZNYM NUMERZE „ODGŁOSÓW") OGŁASZAMY KONKURS PLEBISCYT PN: „ŁODZIANIE ROKU". TRADYCYJNIE TEŻ PRZEDSTAWIAMY DZIESIĘĆ SYLWETEK KANDYDATÓW, PRETENDUJĄCYCH DO ZASZCZYTNEGO TYTUŁU „ŁODZIANINA 1971" SĄ TO LUDZIE RÓŻNYCH ZAWODÓW I Z RÓŻNYCH ŚRODOWISK, ALE ŁĄCZY ICH WSZYSTKICH ZAANGAŻOWANIE I PRACA NA RZECZ ŁODZI.

NA ZAŁĄCZONYM PLEBISCYTOWYM KUPONIE PROSIMY WPISAĆ TRZY NAZWISKA KANDYDATÓW, NA KTÓRYCH PADA WYBÓR CZYTELNIKÓW. O ZDOBYCIU PRZEZ KANDYDATÓW TYTUŁU „ŁODZIANINA 1971" ZADECYDUJE ILOŚĆ ODDANYCH NA NICH GŁOSÓW. ZWYCIĘZCY PLEBISCYTU OTRZYMAJĄ OD NAS PAMIĄTKOWE, METALOWE TALERZE Z HERBEM ŁODZI i WEZMĄ UDZIAŁ W SPOTKANIU Z CZYTELNIKAMI PODCZAS UROCZYSTEGO OGŁOSZENIA WYNIKÓW KONKURSU. NA GŁOSUJĄCYCH TAKŻE CZEKAJĄ NAGRODY. BĘDĄ TO: NAGRODA PIERWSZA — RADIOODBIORNIK TRANZYSTOROWY. NAGRODA DRUGA — ZEGAREK NA RĘKĘ. NAGRODA TRZECIA — KILIM CEPELIOWSKI.

NIEZALEŻNIE OD TEGO UFUNDOWALIŚMY KILKA KSIĄŻKOWYCH NAGRÓD POCIESZENIA.

WSZYSTKIE TE NAGRODY ROZLOSUJEMY POŚRÓD TYCH CZYTELNIKÓW, KTÓRZY W TERMINIE DO DNIA 1 LUTEGO 1972 ROKU NADEŚLĄ NAM WYPEŁNIONE KUPONY PLEBISCYTOWE NA ADRES: REDAKCJA „ODGŁOSÓW", ŁÓDŹ, PIOTRKOWSKA 96. (LISTY Z UZASADNIENIEM WYBORU BARDZO MILE WIDZIANE, CHĘTNIE BĘDZIEMY JE PUBLIKOWAĆ). WYNIKI NASZEGO KONKURSU OGŁOSIMY DO DNIA 1 MARCA 1972 ROKU.

KRYSTYNA KONDRATIUK

Nie można pisać o Krystynie Kondratiuk i nie wspomnieć o Muzeum Historii Włókiennictwa. Nim doszło do związania jej osoby z muzeum, wykładała historię sztuki w łódzkiej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych. W 1952 roku zaproponowano jej zorganizowanie działu tkactwa w Muzeum Sztuki w Łodzi. I to był początek jedynego w swoim rodzaju muzeum, które dzisiaj posiada cenne zbiory tkanin, wszelkiego rodzaju narzędzi i maszyn włókienniczych, archiwalia związane z historią włókiennictwa oraz poważny księgozbiór naukowo-specjalistyczny.

Zaczęła tworzyć to muzeum sama. I już w pierwszym roku działalności zorganizowano dwie wystawy, na razie z eksponatów wypożyczonych z innych muzeów. Stopniowo przychodzili asystenci i zaczęto systematycznie gromadzić własne zbiory. Muzeum pozyskało geyerowską „białą fabrykę", ale potrzeba było uporu, energii i pomysłowości Krystyny Kondratiuk, żeby z zagraconych i zamienionych na magazyny budynków uczynić na wskroś nowoczesny ośrodek artystycznego życia nie tylko dla twórców krajowych. Łódzkie Muzeum Historii Włókiennictwa szeroko znane jest na całym świecie, między innymi z wystaw, w tym trzydziestu zagranicznych. Krystyna Kondratiuk w 1962 r. zapoczątkowała akcję sprowadzania do Łodzi i wysyłania za granicę wystaw tkaniny artystycznej. Od tego czasu, jako komisarz Ministerstwa Kultury i Sztuki do wystaw tkaniny na różnych kontynentach, potrafiła zgromadzić dla łódzkiego Muzeum największą, o wielomilionowej wartości kolekcję tkaniny współczesnej najwybitniejszych artystów polskich.

Znajduje czas na wiele spraw. Jako dyrektor i kustosz muzeum przygotowuje wystawy, publikacje i katalogi, których opracowała już kilkadziesiąt, patronuje artystom, lansując ich twórczość na całym świecie. I jeśli dziś tkanina polska wysunęła się na czoło współczesnej sztuki światowej, jeśli łódzkie Muzeum Historii Włókiennictwa jest, jak ktoś to powiedział, ambasadą polskiej sztuki, to Krystynę Kondratiuk można nazwać jej ambasadorem.

ANNA RYNKOWSKA

Łodzianka, tu ukończyła gimnazjum i pracowała jako nauczycielka, studiując jednocześnie na Wolnej Wszechnicy przy katedrze prof. N. Gąsiorowskiej. Dyplom magistra filozofii uzyskała na Uniwersytecie Warszawskim. W czasie okupacji prowadziła komplety tajnego nauczania w Głownie. Po wojnie, pełniąc funkcję starszego asystenta na Uniwersytecie Łódzkim, uzyskała tytuł doktora, a następnie za prace dotyczące historii Łodzi — stopień docenta.

W 1950 roku podejmuje pracę samodzielnego pracownika nauki w Archiwum i kontynuuje badania dziejów XIX-wiecznej Łodzi. Główny kierunek jej zainteresowań stanowi historia przemysłu łódzkiego, źródła powstania kapitalizmu w Łodzi. Są to prace pionierskie, wymagające żmudnych poszukiwań, szperania w dokumentach archiwalnych, tłumaczenia ich z rosyjskiego i niemieckiego.

Wiedzę o Łodzi, jej historii upowszechnia doc. Rynkowska nie tylko poprzez poważne, źródłowe prace naukowe, ale również w formie popularyzatorskiej, w prasie łódzkiej i krajowej. W bogatym dorobku wydawniczym posiada ponad dwadzieścia pozycji poświęconych Łodzi, wśród nich najpoważniejszą, wydaną w 1971 roku — „Ulicę Piotrkowską". Jest to praca pionierska i w sensie formalnym i merytorycznym jako monografia ulicy, jako wszechstronnie ujęty okres historii powstania miasta. Gromadzenie materiałów do tej książki zajęło autorce pięć lat a ich zebranie zawdzięcza tylko swej niezwykłej pracowitości i wytrwałości: przejrzała kilkanaście tysięcy fascykułów różnych akt w trzech językach.

Doc. Anna Rynkowska znalazła w swym rodzinnym mieście przebogate źródło badań naukowych i pozostała mu wierna w czasie pięćdziesięciu lat pracy. Trudno w tak krótkiej charakterystyce, ująć całość półwiecznej działalności i zasług położonych dla Łodzi przez tego niezwykle pracowitego, skromnego, unikającego rozgłosu wybitnego naukowca i człowieka.

ANTONI KASPROWICZ

Imię jego trwale zrośnięte jest z miastem pracy. W Łodzi się Kasprowicz w roku 1908 urodził, rodzinnemu miastu też poświęcił niemal całą swoją twórczość poetycką i prozatorską.

Władysław Broniewski, oceniając „Poemat łódzki" napisał: „Oto zadatek eposu łódzkiego. Nie podołał mu Reymont ani Tuwim. Drapieżny i miejscami piękny wiersz Kasprowicza powinien sięgnąć po wielką dla niego szansę stworzenia „posągu pracy" — Łodzi w jej historii i trwaniu".

Trudno o lepszą rekomendację. I trzeba przyznać, że nie pomylił się wielki rewolucyjny poeta szkicując drogę twórczą Antoniego Kasprowicza. Bo zwłaszcza dziś widać wyraźnie, że autor „Poematu łódzkiego" nie zmarnował tej szansy.

Dzieciństwo i młodość Kasprowicza to jednocześnie barwne karty z dziejów łódzkiego proletariatu. Jest w nich przedmiejski folklor, jest walka, jest ciężka wyczerpująca praca fizyczna. Samouk, mozolnie zdobywał wiedzę, często kosztem chleba. Ale kiedy w roku 1935 ukazał się tom wierszy „Słońce za murem" stało się jasne, że w literaturze polskiej pojawiło się nowe zjawisko: rozległ się głos robotnika, którego strofy zapowiadały zwycięstwo „w boju ostatnim" ludzi pracy. Obiegały one w dwudziestoleciu międzywojennym całą lewicową prasę i często świeciły białymi plamami konfiskat. W ślad za tymi konfiskatami, tuż przed wybuchem wojny przyszło aresztowanie. Kasprowicz zbiega z transportu. Aresztowany potem przez Niemców i wywieziony na roboty do Rzeszy zbiegł pod koniec wojny na Litwę, gdzie pracował jako nauczyciel. Po wyzwoleniu znalazł się w Łodzi. Wydał tu obok wspomnianego już „Poematu łódzkiego" zbiór wierszy „W cieniu Oriona". Od pewnego czasu wydaje także prozę tematycznie związaną z miastem rodzinnym. Tomy opowiadań „Złodzieje owoców" oraz „Pod kwitnącym kasztanem" raz jeszcze przypomniały minioną Łódź, Łódź dzieciństwa i młodości Kasprowicza. Problematyce tej pozostał wierny do dziś. W bieżącym roku wydał kolejny tom opowiadań „Dzielnica plebejuszów".

MIECZYSŁAW JAGOSZEWSKI

W naszym środowisku, a także poza nim, wśród ludzi, którzy mają z nim częstszy kontakt, uważany jest za jednego z najbardziej czynnych, operatywnych, zaangażowanych w swą pracę dziennikarzy. Zawsze troszczący się o dobro sprawy, ludzi, o których pisze, zawsze obowiązkowy, punktualny, uczciwy, ma za sobą przecież prawie pół wieku (48 lat) pracy dziennikarskiej. Ma za sobą tragiczne przeżycia okupacyjne: — trzy lata obozów koncentracyjnych: Oświęcim, Buchenwald, Dora-Nordhausen. Mimo tych przeżyć potrafił zachować młodzieńczy entuzjazm, świeżość spojrzenia, emocjonalny stosunek do poruszanych spraw.

Rozpoczął pracę pisarską w 1922 roku tomikiem humoresek pt. „O bogobojnym siedzeniu ascetycznego fakira" wydanym pod pseudonimem Jago-Jago. Pseudonimu będzie zresztą używał potem często, m. in. do swych niezwykle popularnych powieści odcinkowych, które publikował w prasie łódzkiej po wojnie. Po czterech latach w 1926 r. wydał zbiór wierszy lirycznych „Serce w masce".

Pracę ściśle dziennikarską rozpoczął w 1923 roku w Łodzi, dokąd przyjechał po ukończeniu studiów filozoficznych na Uniwersytecie Jagiellońskim. Pracuje najpierw w „Rozwoju", potem w „Haśle" i „Republice", następnie w „Expressie Ilustrowanym", do którego powraca po zakończeniu wojny. Po połączeniu „Expressu" z „Dziennikiem" pracuje w połączonym piśmie, a następnie, po rozdzieleniu gazet, w „Dzienniku Łódzkim", w którym do dziś czytamy jego, nacechowane — tak dla niego charakterystyczną — życzliwością dla ludzi, ich pracy, wysiłku — recenzje teatralne, artykuły publicystyczne, informacje.

Przez cały czas swej kariery dziennikarskiej Mieczysław Jagoszewski interesuje się sprawami kultury, a szczególnie teatru i tej pasji pozostaje wierny do dziś. Jest czynnym działaczem społecznym, jednym z inicjatorów odbudowy pomnika Kościuszki, współzałożycielem Towarzystwa Przyjaciół Łodzi, członkiem Zarządu Klubu Oświęcimiaków przy ZBoWiD.

TERESA WOJTASZEK-KUBIAK

Jeszcze kilka lat temu nic o niej nie wiedzieliśmy, dziś jej nazwisko jest znane szeroko w świecie. Solistka Teatru Wielkiego w Łodzi, studia wokalistyczne ukończyła w łódzkiej PWSM u prof. Olgi Olginy w 1966 r. Ale już w czasie studiów zdobyła nagrody na międzynarodowych konkursach w Helsinkach, Tuluzie i Monachium. Pierwszy sukces sceniczny za granicą odniosła w Gruzji, w czasie pobytu w Tbilisi z Teatrem Wielkim. Potem były występy w kraju, w Bułgarii, NRD.

Ale dopiero (czy raczej — już) ostatnie dwa lata przyniosły Teresie Kubiak błyskawiczną karierę światową. Pracowite to były lata. W 1970 roku: Stany Zjednoczone, Nowy Jork. W Carneige Hall „Królowa Saba" Goldmarka, w Filharmonii Nowojorskiej — „Eurianta" Webera. Obie opery bardzo trudne i rzadko wykonywane. Te występy z miejsca przyniosły artystce wielką popularność wśród publiczności i krytyki amerykańskiej, propozycje dalszych występów.

W pierwszej połowie 1971 śpiewa w Anglii — „Damę Pikową" Czajkowskiego i „La Caliste" Cavalliego w Glyndeborne. W sierpniu wyjeżdża do Stanów: San Francisco, Chicago, Houston, Nowy Jork. Śpiewa tam „Madame Butterfly" Pucciniego i „Toskę" Verdiego. Wszędzie gdzie się pojawia, budzi zachwyt, chicagoska publiczność nie chce puścić jej ze sceny, recenzenci piszą: „Zapamiętajcie to nazwisko! Nie było w Chicago „Toski" tego kalibru od czasu amerykańskiego debiutu Reginy Crespin w 1964. Teresa Kubiak jest najrzadszym z operowych ptaków od czasu Renaty Tebaldi. Jest to głos przejmujący, wibrujący, artystka operuje nim z wrodzonym talentem muzycznym prowadząc do kompletnej doskonałości".

W listopadzie Teresa Kubiak udała się do Włoch, gdzie w Wenecji śpiewa „Elektrę" Straussa. W czasie świąt, na kilka dni przyleci do Łodzi. Oczekują jej mąż i dwie córeczki. Dany jej przez naturę: talent — piękny głos i muzykalność łączy z pracowitością i skromnością. Zdobywa sławę dla siebie i naszego miasta, w którym się urodziła i mieszka.

OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI

PRZED ZAPALENIEM CHOINKI

KOLĘDA NA OKARYNIE ▲ NIKT NIE PISZE WIERSZY NA ŚWIĘTA ▲ CHOINKA CZYLI NOWOCZESNOŚĆ — SNOPY ŻYTA W ROGACH KOMNATY ▲ PRZEMIANY OBYCZAJOWE ▲ MROZY I MIKOŁAJE ▲ NA MIARĘ SWEGO WIEKU

Właśnie ojciec kiwa na matkę,
że już wzeszła Gwiazdą na niebie
że czas się dzielić opłatkiem,
więc wszyscy podchodzą do siebie
i serca drżą uroczyście
jak na drzewie przy liściach liście.
Jest cicho. Choinka płonie.
Na szczycie cherubin fruwa.
Na oknach pelargonie
blask świeczek złotem zasnuwa,
a z kąta, z ust brata płynie
kolęda na okarynie..."

Takich wierszy już się dziś nie pisze na święta. Kto wie, może ten właśnie, napisany dwadzieścia cztery lata temu przez Mistrza Ildefonsa był ostatnim? Jakże zresztą dziś napisać wiersz „Przed zapaleniem choinki", kiedy drzewko coraz częściej z plastyku, a zamiast świeczek płoną żarówki włączone szeregowo do sieci o napięciu 220 woltów?

Aż się wierzyć nie chce, że choinka, która dziś jest tradycyjnym symbolem świąt, kiedyś była... nowinką zagraniczną, przeciwko której buntowała się patriotyczna prasa. I nie było to wcale tak dawno — zaledwie sto parę lat temu pisano w „Kalendarzu Warszawskim" (rok 1864, str. 69):

„W części dawnej Polski, która zostawała pod panowaniem pruskim, wprowadzono zwyczaj obdarowywania dzieci w wigilię Bożego Narodzenia choinką uwieńczoną świeczkami zapalonymi i mnóstwem zawieszonych na niej cukierków. Zwyczaju tego pochwalić nie możemy, bo jeżeli od wieków panował w Polsce zwyczaj obdarowywania dzieci i starszych na gwiazdkę czyli kolenda, za cóż wprowadzać do nas zwyczaje niemieckie (...) Obyczaj ten koniecznie wypada usunąć..."

Ale cóż — nie udało się. Choinka została w Polsce. Choć jeszcze w końcu XIX wieku w niektórych dworach na Mazowszu — jak zaświadcza Gloger — „nie siadano do wigilii bez snopów żyta po rogach komnaty ustawionych". Lud wiejski — prawi Gloger — po uczcie wigilijnej, ze słomy tych snopów kręci powrósła i wybiegłszy do sadu owiązuje niemi drzewa owocowe w przekonaniu, że będą lepiej rodziły...

Dziś lud miejski zablokowany w wielkich osiedlach, mógłby użyć tych powróseł do owiązania nimi rur wodociągowych, które — osobliwie zimą — często pękają. Może by się i narodził taki nowy,

ŁODZIANIE 1971 ROKU

JANUSZ MACKIEWICZ

Janusz Mackiewicz jest łodzianinem z wyboru. Przyjechał do Łodzi w roku 1959 wkrótce po ukończeniu studiów i uznał ją za swoje miasto rodzinne. Podjął pracę w Wydziale Budownictwa, Urbanistyki i Architektury w dzielnicy śródmiejskiej, który zorganizował od podstaw i którym do dziś kieruje.

Jako utalentowany architekt ma wiele realizacji w różnych miastach Polski i oczywiście w Łodzi, która zawdzięcza mu uratowanie od zagłady ulicy Piotrkowskiej. Mackiewicz uważa bowiem, że należy chronić to, co łódzkie, aby przyszłe pokolenia nie doszły do wniosku, że historia miasta zaczęła się dopiero w bieżącym dziesięcioleciu.

Takim zabytkowym zespołem XIX-wiecznej architektury, wymagającym wplecenia w nowe centrum, jest najsławniejsza ulica łódzka — Piotrkowska. Właśnie w tym roku projekt jej rekonstrukcji i modernizacji wykonał inż. Mackiewicz wraz ze swoimi współpracownikami w czynie społecznym. Była to ogromna praca, dotyczyła bowiem 160 kamienic. Miała ona na celu zachowanie XIX-wiecznego kolorytu Piotrkowskiej na tle nowej architektury, która spływa dopiero z desek projektantów. W myśl opracowania Mackiewicza zabytkowy zespół Piotrkowskiej funkcjonować będzie jako jeden z rejonów nowoczesnego centrum. Ochrona tej ulicy nie oznacza, że architekci chcieliby zostawić jej mieszkańców w dotychczasowych warunkach bytowych. Oficyny na Piotrkowskiej posiadać będą współczesne wnętrza odpowiadające poziomowi współczesnej cywilizacji.

Pogodzenie nowego ze starym, tradycji z nowoczesnością nie było rzeczą łatwą, ale w pełni się powiodło. Potwierdziło ten sukces międzynarodowe sympozjum w Pradze, gdzie łódzka koncepcja spotkała się z uznaniem architektów z Europy. Jeśli więc Piotrkowska stanie się piękniejsza, nie tracąc nic ze swego zabytkowego charakteru, pamiętajmy, że w dużej mierze przyczynił się do tego Janusz Mackiewicz.

STANISŁAW CWYNAR

Prof. dr Stanisław Cwynar, członek licznych krajowych i zagranicznych towarzystw naukowych, jest jednym z najwybitniejszych działających obecnie w Polsce psychiatrów.

Wiele uwagi poświęcił profesor Cwynar zagadnieniom higieny psychicznej uczestnicząc w pracy Polskiego Towarzystwa Higieny Psychicznej, którego był przewodniczącym. Problematyka ta stanowi jego główną życiową pasję, uważa on bowiem, że istnieje potrzeba przekształcenia osobowości człowieka. Popędowość, która stanowi dzisiaj główny motor poczynań ludzkich, jest zaprzeczeniem socjalizacji i zawiera w sobie groźbę nieustannych konfliktów. Profesor Cwynar uważa, że człowiek może zmienić samego siebie, zmienić niejako swoją naturę, która najsilniej oparła się ewolucji. Trzeba tylko elementy przekształcenia osobowości wprowadzić już do wychowania przedszkolnego i konsekwentnie wdrażać je przez wszystkie etapy życia człowieka.

Realizacji tego programu na szeroką skalę służyć miał Zakład Higieny Psychicznej zlokalizowany w Łodzi, gdzie Stanisław Cwynar znalazł wielu współpracowników, entuzjastycznie popierających jego projekt. Lekarze zamierzali wziąć pod obserwację jakąś wybraną dzielnicę czy środowisko i stworzyć tam pełne warunki dla krzewienia higieny psychicznej. Długofalowe działanie, są o tym przekonani, może spowodować przekształcenie osobowości człowieka.

Jako współpracownik Polskiej Akademii Nauk kieruje tam profesor Cwynar zespołem badającym metody leczenia alkoholizmu przewlekłego. Nieskuteczność leczenia jest bowiem rezultatem niejednolitych metod terapeutycznych, zachodzi także potrzeba wprowadzenia nowych. Walka z alkoholizmem i jego skutkami to druga życiowa pasja profesora Cwynara.

Jako kierownik Katedry Psychiatrii w AM w Łodzi wychował on 20 doktorów oraz patronował 5 habilitacjom, a jego niektórzy uczniowie samodzielnie kierują już katedrami w polskich uczelniach medycznych.

MARIA RYL

Jest jedną z tych osób, które swoją pracę poświęciły najmłodszym łodzianom. Maria Ryl — pedagog i współtwórca „Arlekina" — interesowała się lalkarstwem jeszcze przed wojną, pracując w szkolnictwie. Po wojnie była jednym ze współzałożycieli Krakowskiego Teatru Lalki „Groteska".

Z Łodzią związała się w 1948 roku. Wraz z mężem — Henrykiem Rylem — rozpoczęła organizowanie łódzkiego teatru lalki „Arlekin". Pierwszą siedzibą tego teatru była sala dzisiejszego kina „Adria". Zanim doszło do inauguracyjnego przedstawienia, trzeba było pokonać wiele trudności organizacyjnych. Przede wszystkim adaptować salę do potrzeb lalkowego teatru, zająć się sprawami administracyjnymi, przygotować widownię. I od pierwszych dni „Arlekina" przyjął się taki zwyczaj, że jeśli było coś w teatrze do zrobienia, a nie miał kto tego zrobić, zajmowała się tym pani Maria. Niezbyt długi był żywot „Arlekina" w sali przy ulicy Piotrkowskiej. W 1957 roku trzeba było szukać nowego pomieszczenia. Znaleziono je w budynku przy rogu ulicy Wólczańskiej i al. 1 Maja, gdzie do dziś „Arlekin" bawi i uczy najmłodszą publiczność. I znów skromnej i często znajdującej się w cieniu pracy Marii Rylowej „Arlekin" wielokrotnie zawdzięczał swoje funkcjonowanie i sukcesy.

Przez 25 lat działalności w Teatrze Lalki zajmowała się nie tylko organizacją pracy artystycznej, ale opiekowała się również adeptami sztuki lalkarskiej i sprawowała opiekę pedagogiczną nad najmłodszą widownią.

Wielu dorosłych już dziś widzów teatralnych nie wie nawet, że swoje zainteresowanie sztuką zawdzięcza między innymi również Marii Ryl — współtwórcy „Arlekina", teatru, w którym po raz pierwszy zajęli miejsce na widowni.

STANISŁAWA ŚWIDERSKA

Należy do tych kobiet, które poza dwoma przysłowiowymi już etatami — w fabryce i domu — znajduje jeszcze czas na pracę polityczną i społeczną. Stanisława Świderska, prządka z Widzewskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego 1 Maja jest bowiem posłanką na Sejm PRL i członkiem Egzekutywy KŁ PZPR. Ze swoim zakładem — wówczas jeszcze „Widzewską Manufakturą" — związana jest od 1936 roku, kiedy to zaczęła pracować jako pomocnica prządki. Od 1958 roku sama uczy tego zawodu młode dziewczęta. Można zaryzykować twierdzenie, że właśnie praca z uczennicami skierowała zainteresowania Stanisławy Swiderskiej na działalność społeczną. Dziewczęta prosiły ją o radę nie tylko w sprawach zawodowych, ale także w swoich osobistych kłopotach. Pomagała im i tak się zaczęło. Najpierw — w 1958 roku — została przewodniczącą oddziałowej rady robotniczej, a wkrótce potem — radną.

W sejmowej Komisji Przemysłu Lekkiego zajmuje się problemami łódzkich włókniarzy, problemami, z którymi spotyka się w swojej codziennej pracy. Za każdą nawet najdrobniejszą sprawą, którą się zajmuje, widzi przede wszystkim człowieka.

Za swoją pracę otrzymała Srebrny i Złoty Krzyż Zasługi, Złotą Odznakę Przodownika Pracy i Honorową Odznakę m. Łodzi. W lipcu bieżącego roku otrzymała najwyższe odznaczenie — Order Budowniczego Polski Ludowej.

TADEUSZ STEFAŃSKI

Plutonowy, funkcjonariusz Komendy Dzielnicowej MO na Górnej. Ma 26 lat, jest żonaty i ma jedno dziecko. Do pracy w milicji wstąpił przed czterema laty, natychmiast po odbyciu służby wojskowej. Przed wojskiem działał w ORMO.

Młody, energiczny, ma w swej pracy wiele okazji do wykazania odwagi, co często, niestety, związane jest z narażaniem własnego życia. Taka sytuacja miała miejsce właśnie w tym roku.

Działo się to 29 października wieczorem. Radiowóz patrolowy, kierowany przez Tadeusza Stefańskiego, powiadomiony został, iż z mieszkania, położonego na VIII piętrze w domu przy ul. Ciołkowskiego, ulatnia się gaz. Po przybyciu na miejsce okazało się, że drzwi mieszkania są zamknięte.

Ponieważ wyważenie drzwi zajęłoby zbyt wiele czasu, plutonowy zadecydował dostać się do mieszkania przez balkon. Z narażeniem życia zszedł po drabinie z balkonu na IX piętrze. Grozę sytuacji potęgował fakt, że był już wieczór i hulał ostry, październikowy wiatr. Tylko dzięki szybkiej i energicznej akcji milicjanta udało się uratować niedoszłego samobójcę. Zaledwie kilka minut dzieliło desperata od śmiertelnego zatrucia — jak stwierdził lekarz pogotowia.

Stawiając na szali własne życie — Tadeusz Stefański uratował życie drugiego człowieka.

KUPON PLEBISCYTOWY

1.	Nazwisko i imię
2.	Adres:
3.	Zawód:

świąteczny obyczaj, gdyby choinka nie wyparła staropolskich snopów żyta z rogów komnaty.

Nie wzdychajmy jednak do snopków i nie żałujmy choinki, że staje się z wolna atrapą z tworzywa. Przemiany obyczajów są przecież niejako wliczone w koszty biegu historii.

Na przykład święty Mikołaj. Z dawien dawna chadzał w noc grudniową po Polsce, aż barokowa moda wymyśliła aniołka i diabełka. Święty z Małopolski i Wielkopolski zatracił się w zaborze rosyjskim, gdyż było to imię carów. Wygnano więc świętego z piernika — potem znów wrócił w latach późniejszych, aby na czas jakiś ustąpić miejsca Dziadkowi Mrozowi — dziś powoli zapominamy i o Dziadku i o Świętym. I tak się toczy koło obyczaju.

Kręcą się płyty na adapterach i kolęda, która z rzadka jeszcze płynie w noc grudniową, ma najczęściej rytm nerwowy bitowego zespołu. To już nie te teksty starych pastorałek:

„Zebrali się chłopy
i przyszli do szopy
po śniegu po grudzie
dziwili się ludzie
przyśli do stajenki
do świętej panienki
wół, osioł chuchają
głowami kiwają..."

To już nie te teksty. Może jeszcze kiedyś wrócą, ale chyba tylko jako przelotna moda podobna świątkom i secesji. Nie wrócą już nigdy jednak jako obyczaj.

Bowiem zmienił się świat — banalna to prawda i trudno wobec braku perspektywy notować nowe zwyczaje. Notujemy więc z łezką jak wypalają się niby choinkowe świeczki — stare obyczaje. Nowych, rodzących się jeszcze nie widzimy, nie potrafimy dostrzec.

Ale są na pewno — kto wie, może włączenie do sieci plastykowego drzewka z kolorowymi żarówkami, to właśnie nowy obyczaj? Uśmiechacie się z niedowierzaniem? No, cóż, każdy wiek ma obyczaje na swoją miarę.

JERZY WIDOK

KONRAD FREJDLICH

UŚMIECH ARIADNY

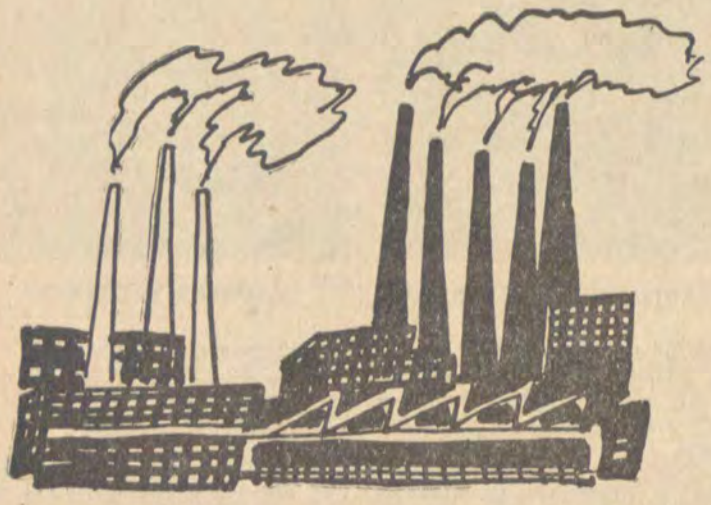

Taki dałem tytuł przygotowanej do druku antologii reportażu łódzkiego. Łódź zyskała na przestrzeni swoich krótkich przecież ale burzliwych dziejów fabrycznych różne przydomki: była nazywana Ziemią Obiecaną, Bawełnianym Grodem, Złym Miastem, ale tylko Zygmunt Nowakowski nazwał ją Miastem Ariadny.

Dlaczego właśnie Ariadny? Pilni czytelnicy mitów greckich pamiętają zapewne zakochaną w Tezeuszu córkę okrutnego króla Krety, Minosa. Kłębek nici, jaki królewna podarowała swemu wybrankowi, umożliwił mu potem wyjście z Labiryntu, w którym zabił nienasyconego potwora Minotaura. Tezeusz porzucił zresztą po swym zwycięstwie Ariadnę, ale wtedy zwrócił na nią uwagę Dionizos — bóg odradzającej się na wiosnę przyrody.

Powie ktoś, że to dalekie skojarzenie? Bardzo możliwe. Ale Ariadna, podobnie jak Łódź, jawi mi się niezmiennie z nieodłączną nicią w dłoni. Ma też Łódź swoje Dionizje: program przebudowy i rekonstrukcji miasta, dzięki któremu, choć młode, przecież jeszcze odmłodnieje. Oby tylko to odrodzenie było równie trwałe jak kult Dionizosa.

Zamieszczony na tej kolumnie wybór fragmentów reportaży łódzkich przypomni nam, a niektórym ukaże po raz pierwszy, obraz Łodzi minionej, jakiej już raczej nie spotkamy we współczesnym pejzażu miasta. Warto się z tym obrazem zapoznać. Nie tylko dlatego, jak się okaże z lektury, że reportaże o Łodzi tworzyli pisarze wysokiej klasy. Warto również dlatego, że śledząc przeszłe pejzaże, lepiej zrozumiemy współczesny pejzaż Łodzi. A niezależnie od tego są one pasjonującą niekiedy lekturą.

KONRAD FREJDLICH

* * *

OSKAR FLATT

Dziś Łódź pewniejszym już znowu krokiem idzie po drodze fabrycznego postępu. Z niestałą ludnością liczy przeszło 40.000 mieszkańców. Rozsiadła na długiej, wąskiej, pięciowiorstowej przestrzeni, zaczyna z wolna rozrastać się w pasma ulic, równoległych do głównej arterii. W miejsce i obok jednostajnych, niepozornych i oko nużących dworków, coraz gęściej dźwigać się zaczynają wspaniałe kamienne budowle, a w potężnych gmachach fabrycznych drga żywo tętno przemysłowego życia.

W roku zeszłym następujący był obrót przemysłowej działalności miasta Łodzi. Sześć przędzalni wełny, zatrudniających 256 robotników, wyprodukowało wyrobów za 330.400 rsr. W trzydziestu fabrykach tkanin wełnianych 563 robotników dokonało wyrobów za 733.180 rsr., w dwóch przędzalniach bawełny (Traugotta Grohman i Karola Scheibler) 225 robotników wyrobiło przędzy za 366.800 rsr.; na pojedynczych tkalniach 4.299 robotników przy 2.874 warsztatach wyprodukowało tkanin bawełnianych za 774.366 rsr. Dodając do tego drukarnie perkalu, farbiarnie, bielniki, fabryki tasiemek i pończoch, ogólna wartość wyrobów bawełnianych dojdzie cyfry 1.312.196 rsr. W r. 1851 dochodziła już 1.743.337 rsr. Tymczasem trzy tkalnie lniane zatrudniają tylko 36 ludzi i produkują wyrobów zaledwie na wartość 22.300 rsr. Najważniejszym z tych cyfr rezultatem jest znakomite w ostatnich latach zwiększenie się w Łodzi produkcji wyrobów wełnianych; dziś dochodzą one niemal wartości produkcji bawełnianej, której przed 12 laty stanowiły 1/10 część.

„Tygodnik Ilustrowany", 1866

ADOLF STARKMAN

Wszyscy dążą tu do jednego celu: do zdobycia wykwintniejszego bytu i większej ilości pieniędzy, nikt tu nie posiada wyższych pragnień, nie ma tu idealniejszych polotów, szlachetniejszych dążeń i świętych ogników myśli i natchnienia.

Z yankesowskim hasłem na ustach: Time is money i z deklinacją na najrozmaitsze odmiany wyrazu: bussines, płyną tu dnie i lata życia ludzkiego, przy czym do urny wszechludzkiego dobra nie spływa stąd nic, co by zasługiwało na nazwę odwrotnej strony medalu tego miasta...

Stąd każda inteligentniejsza i myśląca jednostka, zagnana losem do Łodzi, wyrywa się stąd jak może najprędzej z kajdan parafiańskiej małostkowości, połączonej z czczością życiową, urozmaicanej jedynie namiętną i brudną walką o pieniądz i ucieka chętnie do najlichszej chociażby małomiasteczkowej dziury, gdzie worek złota nie zastawił jeszcze takiej rażącej pomiędzy ludźmi granicy i gdzie człowiek człowiekowi wilkiem jeszcze nie jest... Łódź tylko ilością mieszkańców imponuje, jakość natomiast przeważnie do mętów i szumowin społecznych zaliczone być może.

„Łódź i łodzianie", 1895

STEFAN GORSKI

Ruch przechodniów w mieście ma codziennie kilka faz odmiennych. Do dnia gwizd fabryk zwołuje dziesiątki tysięcy robotników, wytwarzających „czarny" ruch uliczny, w godzinach przedpołudniowych uwijają się kupcy, woźni, komiwojażerowie, w południe — wyludniający fabryki robotnicy, często rozsiadają się w bramach domów, gdzie spożywają dostarczane im obiady. W godzinach południowych większe ożywienie sprawiają postrojone damy łódzkie, w wykwintnych pojazdach, lub pieszo, zażywające przechadzki po ulicy Piotrkowskiej.

Piękności w świecie niewieścim brak w Łodzi, brak im przede wszystkim tej zręczności w ruchach, jaką się widzi w Warszawie. Niegustownie, acz kosztownie poubierane damy nadają „tonu" ruchowi przechodniów. Jest to jedyna kategoria ludzi, która nie spieszy się, nie gestykuluje rękami, nie oblicza „kalkulacji" na ulicy i nie myśli, jakby dzisiaj coś nabyć na weksel długoterminowy, by jutro tenże towar, z zarobkiem, sprzedać na weksel o przychylnej opinii dyskontowej.

W ogóle na ulicach brak wdzięku i elegancji... Brak umiejętności chodzenia po wąskich ulicach — bez popychania się, brak nawet zwyczaju u ludzi nieraz przyzwoicie ubranych używania w pewnych funkcjach życiowych chustki do nosa... — I pomyśleć sobie, że na Zachodzie nie wolno spluwać na ulicę!

„Łódź spółczesna", 1904

ZYGMUNT BARTKIEWICZ

Jest w Polsce takie miasto złe. I smutne obłudnie, bo jakby w welon żałobny spowite, a drwiące ze śmierci. Tysiące szczytów wyniosło w podniebia, wysoko, a spodem we krwi się płuży. Twardą moc czerpie z kwiatów bawełny, a ze złota życie, występkom zawdzięcza zasługę.

Są w tej wieloludzkiej siedzibie, gdzie jednak, jak powiadają, trudno o ludzi, są w niej dwa krańce: nędzne, wrzawliwe przedmieście i można, zaufana w bogactwo i władzę, więc cicha ulica. Od wsi polskiej wzięła nazwanie, wrogom Polski dała przytułek.

Dwa krańce od dawna stanowiły jakby dwa państwa. W jednym pana udawał w rok wzbogacony wyrobnik, w drugim lata panował nad głodem, troską i — sobą, ukrzywdzony i biedny. Różnili się władcy oczywiście w poglądach na dobre i złe, zwyczaje, uczucia, wierzenia mieli odmienne, mocą jednak wspólnych interesów związani, musieli się znosić, nawet przychylnością tumanić, aby tym łatwiej wyzyskać jak tego cel wszystkich spraw miasta: błogosławiona korzyść wymaga.

A wiązał dwa krańce w zgodną wspólność handel zamienny, gdyż od stu lat państwo przedmieścia dawało materiał surowy: siły, młodość i wdzięki, zaś można ulica zużywała ów towar, ofiarując w zamian szereg dobrodziejstw, więc prawo i możność odżywiania się zupą rumfordzką, noclegowe przytułki, łóżko w szpitalu, o ile wolne, i — uszlachetniającej pracy godzin piętnaście!

„Świat", 1907

MIKOŁAJ TIMKOWSKI-KOSTIN

Zaledwo zostawi się poza sobą to niespokojne, burzliwe morze i minie się kwartały właściwej Łodzi, na Bałutach wpada się w zupełny mrok. Nie ma ani jednej latarni na wąskich i krzywych ulicach. Tutaj mieszka głodny lud fabryczny, tutaj rzadko można spotkać patrol żołnierski, tutaj są własne patrole, łańcuchy, warty.

We dnie i nocy chodzą one po wąskich uliczkach bałuckich i wypełniają swoje wyroki i samosądy. Obie walczące partie: narodowcy i socjaliści mają swoje sądy, hasła partyjne i straże.

Chodziłem po szpitalach, rozpytywałem rannych i lekarzy, którzy ich przywieźli. Opowiadania te zawierają nieprawdopodobne szczegóły. Zwyrodnienie, zezwierzęcenie doszło do tego stopnia, że rannych odbierają lekarzom, dobijają ich, strzelają do pochodów pogrzebowych, wyrzynają całe rodziny itd.".

„Miasto proletariuszów", 1907

ALEKSANDER BOLESŁAW CYPS

Tramwajowe wozy zbierają gromadki pasażerów i dudnią po szynach na zakrętach ulic, wyrzucają z siebie jednych, aby innych wchłonąć. A wszystko nerwowe, obliczające czas na minuty, zajęte przelotną myślą szczęśliwego zajęcia zwolnionego miejsca, popychające się w tłumie pracowników, dusza „obowiązku" kołacze się w tych typach „stających do apelu" na odgłos dzwonka, zegara czy syreny. Zobaczysz tam blade twarzyczki dziewcząt sklepowych, pogarbionych i stetryczałych nauczycieli, wesołych i głośno rozprawiających o „dwójach" sztubaków, wylęknione, zaspane jeszcze, z kajecikami, notatkami, notesikami, ujrzysz urzędniczki biur, skromnie przysiadujące wśród pasażerów. Widzisz je wiecznie czynne i zajęte kusą spódniczką, nie mogącą żadną miarą zakryć kolan. Te ruchy, gesty, miny, ukłony i komeraże potrąconych dają inny obraz zdenerwowania i biedoty, której nie stać na jazdę „samopas" wzdłuż ulicy. Tu typy zabijającego z wolna życia troską o byt bardzo skromny, lęk o to, by nie utracić posady wyżebranej „pokorą" i służbistością, obawa, by władzy się nie narazić i być „na miejscu". Ileż ten miejski tramwaj ponosi westchnień „byle prędzej", ile obrazów tego nerwowego rzutu na zegarek, ile zmechanizowanej woli. Proletariat pracujący umysłowo!

„Giewont", 1928

ILIA ERENBURG

Łódź nie jest Warszawą, Łódź to „naga rzeczywistość", miasto bez kompleksów, bez cukierni, ba, nawet bez poetów. Zamiast szminki jest tutaj oblicze, a przy tym takie oblicze, którego się nigdy nie zapomni, gdy się je raz widziało. Wy, miłośnicy egzotycznego użycia, kupcy czarującej naiwności, międzynarodowi Paul Morandowie — nie śpieszcie do Łodzi, omijajcie to miasto! Kobiety są tu nudne do zgrzytania zębów, a ich włosy pachną dymem fabrycznym. Przeżycia są tu lakoniczne i skondensowane. Ich treścią jest albo złoty, albo krew: małomówne miasto.

Cóż robić — każdemu się tutaj śpieszy. Gdy cię na ulicy ktoś potrąci, nie znajduje nawet tyle czasu, aby rzucić „przepraszam"; nie, wystarcza skrócone „przepra". W ten sposób zmienia się słownik. Zwięzła nazwa: „Łódź". Lakoniczne zdania: „pięć skrzyń", „trzy wagony", „porcja gęsiny", „lekarza", „policję", „zakład pogrzebowy". Jeszcze bardziej lakoniczne są myśli: „Dolar — ośm złoty", „zdechnąć można!", „do diabła!", „aresztować". Piękne miasto, szczere miasto! W całej Europie nie znajdziecie takiej złośliwości, takiej chęci do życia, takiej tępoty.

„Głos Poranny", 1928

ZYGMUNT WALIŃSKI

10.000 ludzi dwukrotnie na dobę przekracza bramy fabryczne.

Wchodzą swobodnie, wychodząc podlegają rewizji.

Rewidenci rewidują mężczyzn, rewidentki — kobiety.

Palce mają giętkie — długie.

Oczy psów dbających o pańską własność.

Czuwa nad nimi policja fabryczna.

Same chłopy na schwał, w strażackich kaskach.

Broni nie noszą. Mają mocne pięści.

Wychodzący gorączkowo myszkują po własnych kieszeniach.

Trzeba być ostrożnym.

Kawałek szpagatu, ćwiartka papieru wartości 10 gr — wystarczające powody zwolnienia.

Prócz stempla — sprawa w sądzie.

10.000 robotników, z których każdy wyniósłby dziennie ćwiartkę papieru za 5 groszy — 15.000 złotych miesięcznie.

„Miesięcznik Literacki", 1930

KONRAD WRZOS

Koszyk z galanterią w bramie jednego z domów w pobliżu Piotrkowskiej. W bramie nr 14 przy ulicy Wierzbowej za 40 gr kupiłem grzebień. Sprzedawca powiada, że zarobił na nim 5 gr. Kupił bowiem ten grzebień za 35 groszy. Z takich 5-groszówek powstaje jego dzienny zarobek, który dochodzi do 1 złotego, czasem nawet do 1,50 zł. Zarobek ten musi mu wystarczyć na utrzymanie żony i dwojga dzieci. Jedno dziecko ma 6, drugie 8 lat. Nasz sprzedawca myśli przede wszystkim o dzieciach.

— Trzeba dbać o to, aby dzieci miały co jeść — powiada — Samemu zjada się trochę kartofli i trochę barszczu.

Uliczny sprzedawca był robotnikiem, pracował w fabryce. Przyszła choroba płucna, a wraz z nią kryzys i tak się jakoś fatalnie złożyło, że gdy wyzdrowiał został zredukowany, wówczas kupił koszyk i trochę galanterii.

— I cóż?... Żebrać nie pójdę — powiada. — Nie dam się!

Taki jest w Łodzi robotnik. Twardy, gotowy do walki.

„Oko w oko z kryzysem", 1933

HELENA BOGUSZEWSKA

Siedzę przy rozpalonym żelaznym piecyku na niskim stołeczku, z którym przesuwam się w miarę, jak się rozwija rytuał sobotniego sprzątania. Gospodarz skrobie kartofle, gospodyni ściera, szoruje — i tak sobie rozmawiamy. Od czasu do czasu ktoś puka: ciotka przysłała chłopca, żeby pożyczyć trochę cukru. To znów sama wstąpiła, żeby się umówić razem do rzeźnika: ma na jutro wołowinę po siedemdziesiąt groszy. Ciotka mieszka na tych samych schodach i pracuje u Szajblera. Pogadują przy drzwiach, żeby nie zadeptywać podłogi. Ciotka wzdycha: — Walczaka zredukowali, Stańczykową zredukowali. — Którą Stańczykową? Tę z Górnego Rynku? — Ach nie, tę, co mieszka tam na Chojnach, wiesz? — No, to co ona zrobi teraz?

— A co my wszyscy zrobimy, jak na nas przyjdzie?

— Nikt nie odpowiedział. Gospodarz dołożył węgla, jakby się nagle zrobiło zimno. Gospodyni poprosiła, żeby się Jurek mógł u ciotki przespać — chodziło o to, żeby mnie pomieścić.

„Przedmieście", 1934

POLA GOJAWICZYŃSKA

Ogromne sale, pełne maszyn i ruchu, na pierwszy rzut oka — bezludne. W jakiejś chwili maszyna staje, z drugiego końca sali sunie robotnica w pantoflach na bosych nogach, ledwie przyodziana. Chce mi pokazać swą pracę, bierze mnie za ramię i poprzez piekielny hałas szepcze do ucha: — Niech pani stanie tu.

Staję u jej boku, ostry, przenikliwy i duszny zapach potu uderza w twarz niczym pięści. Nieruchoma, zwinnymi ruchami samych tylko palców podkłada zerwaną nić.

— Ile pani zarabia? — pytam. — Trzydzieści złotych tygodniowo — szepcze. — Jak dawno pani pracuje? — Od trzynastego roku życia, teraz mam trzydzieści siedem.

Zaciskam rękę na jej ramieniu w pierwszym odruchu współczucia, a potem — wściekłości. Dwadzieścia cztery lata, aby dojść do takiego zarobku — dwadzieścia cztery lata młodości — życie! To jest jedna z tych najbardziej wykwalifikowanych, uprzywilejowanych przez umiejętność. Natykam się na coś ciemnego, niezrozumiałego, na coś, co nazywamy losem człowieczym...

„Dziennik Polski", 1935

KSAWERY PRUSZYŃSKI

Na przedmieściach Łodzi widzi się krzyże i obrazy na drzewach. To miasto wchłonęło w siebie pola i drogi polne, kładąc tylko drzewa i krzyże przydrożne. Czasem na przedmieściach Warszawy widzi się to samo. W niedzielę za miastem widzieliśmy ludzi z miasta, którzy wyszli nie po to, aby się na trawie położyć bez ruchu, ale po to, aby wyjść i patrzeć długo na pole. Tego mieszczuchy, póki nie ma bławatków, nie robią. To tylko dawny wiejski człowiek, wygnany do miasta za pracą, tak wychodzi sobie za przedmieścia popatrzeć czy dobrze wschodzi tej wiosny. Taka ruchoma dziecinnych kolebek, jedyna w Polsce, taśma, której bieg nie uległ większemu zwolnieniu, wyrzuca rotacyjnie roczniki nowych ludzi na przeludnioną wieś. W Łęczyckiem, Częstochowskiem, Kaliskiem i Łowickiem przeludnienie agrarne, brak ziemi do parcelacji w ogóle dosięga szczytu. Na płaskiej ziemi widne z daleka kominy Łodzi — ciągną. Ludzie łódzcy i wiejscy błąkają się po ulicach wielkiego miasta, wokół fabryk, gdzie inni walczą o lepsze warunki pracy, o szkoły, o rzeczy, które dla nich będą dopiero dalekim etapem walki.

„Wiadomości Literackie", 1936

...moim zdaniem najlepsze w roku

„Akt przerywany"

PRZEDSTAWIENIE

Zanim zdecydowałem się ocenić najwyżej **przedstawienie „Aktu przerywanego"**, w Teatrze im. Stefana Jaracza, wahałem się w wyborze. Brałem pod uwagę „Czajkę" Czechowa w tymże teatrze, której reżyser Jerzy Grzegorzewski przyjął całkowicie nową konwencję dla tej sztuki. Frapującym i śmiałym, choć nie bezbłędnym widowiskiem był „Ksiądz Marek" według Juliusza Słowackiego zaadaptowany i inscenizowany w Teatrze Powszechnym przez Macieja Zenona Bordowicza. Myślałem również o „Ameryce" Kafki w adaptacji Jean - Luis Barraulta wystawionej w Teatrze Nowym przez Zygmunta Huebnera w oprawie plastycznej Ewy i Franciszka Starowiejskich...

Ale wybór mój padł ostatecznie na „Akt przerywany" Tadeusza Różewicza w adaptacji i reżyserii Piotra Piaskowskiego *).

Podtytuł sztuki Różewicza brzmi: „Komedia niescenicz-na w jednym akcie". Autor już w tym określeniu zrobił wiele, by odstraszyć ludzi teatru od sięgnięcia po ten tekst. Bo po pierwsze: komedia — zdaniem jego — nie przeznaczona dla sceny, a po drugie: jednoaktowa, czyli zbyt krótka dla zagospodarowania teatralnego wieczoru.

Gdy weźmie się mimo wszystko do ręki tekst Różewicza, jawią się dopiero istotne trudności. Właściwie nie jest to napisana do końca sztuka, lecz zaledwie nakreślony pomysł na sztukę. Sam autor w rozmowie z krytykiem Konstantym Puzyną nazwał swoją dramaturgię otwartą. „Coś podobnego było z **Kartoteką** — mówił — tam też każdy mógł wejść w środek, dopisać jakiś fragment czy koniec, rozszerzyć czy uzupełnić jakąś scenę". („Dialog", nr 7/1969).

Otwarty charakter „Aktu przerywanego" jest bardziej jednak ewidentny. Po prostu Różewicz przestaje wierzyć w możliwość napisania sztuki dla teatru. Kpi więc z teatralnej umowności, podsuwa przekornie rozwiązania, by je natychmiast dezawuować. Uwagę swą skupia przy tym nie na dialogu, którego napisał bardzo niewiele, ale na didaskaliach autorskich, w których snuje mglistą wizję nowego teatru, teatru poetyckiego.

W sumie odważny, który decyduje się wystawić „Akt przerywany", natrafia na łamigłówkę, z którą musi się sam uporać. Autor mu nie pomoże. Jest przecież przeciwny wystawianiu swej sztuki w teatrze. Pierwszym śmiałkiem był Kazimierz Braun, który wystawił „Akt przerywany" w 1970 roku w Teatrze im. J. Osterwy w Lublinie. Wprowadził do tekstu Różewicza fragmenty wspomnianej wyżej rozmowy z Puzyną, inkrustował dialog utworami poetyckimi Różewicza, wreszcie kazał aktorom improwizować. Spektakl uzyskał sukces w skali krajowej.

Piotr Piaskowski realizując sztukę w rok później w Łodzi nie poszedł utartym przez Brauna i aktorów lubelskich szlakiem, lecz pokusił się o własną interpretację i adaptację tekstu. Godził się na to przecież sam autor, zezwalając każdemu na dopisywanie. Piaskowski nie tyle zresztą dopisuje, ile podnosi didaskalia autorskie do roli tekstu głównego. Te uwagi i propozycje Różewicza uznaje reżyser za ważniejsze od dialogów. Raz po raz zawiesza więc dialog, by oddać głos bezpośrednio autorowi.

Sądzę, że w porównaniu z inscenizacją Brauna (którą miałem okazję widzieć przedtem) Piaskowski poważniej traktuje autora i jego mocowanie się z samym sobą. Nie znaczy to, że reżyser pozbawia przedstawienie akcentów komediowych. Byłoby to przeciwne intencjom Różewicza. Jednak humor przedstawienia łódzkiego jest szlachetniejszej próby, sięga głębiej w istotę twórczości znakomitego poety.

Słowa Różewicza wkłada Piaskowski w usta Stanisławowi Kwaśniakowi, nakazując mu przestrzeganie równowagi między kpiarskim tonem, w jakim autor utrzymuje swoje didaskalia, a powagą tej zasadniczej polemiki z teatrem w jego rozpowszechnionym kształcie. Aktor trafnie wywiązuje się z niełatwego zadania.

Prawdziwy jednak recital aktorski daje w przedstawieniu Ewa Mirowska w roli Czerstwej Kobiety. Gdybym miał wskazać najlepsze dokonanie aktorskie roku w teatrach łódzkich, nie wahałbym się już i wybrał właśnie to. Mirowska jest wykonawczynią wręcz wymarzoną w sztukach o dużym ładunku intelektualnym. Tak więc i w „Akcie przerywanym" trafia bezbłędnie w tonację, jaka pobrzmiewa w sztuce Różewicza. Jest przekomiczna, a jednocześnie daleka od naturalizmu, czy przerysowania. Zgodnie z zamierzeniem autora wykpiwa banał i schematyczność postaci.

Doskonale dostroił się do intencji reżysera scenograf przedstawienia Daniel Mróz, projektując dekoracje i kostiumy, w których poetyckość wymieszana jest z komizmem.

Siły łódzkiej inscenizacji „Aktu przerywanego" dopatruję się w jej samodzielności i twórczym rozwinięciu myśli ożywiających tekst autorski.

*) **Scenografia — Daniel Mróz; muzyka — Edward Pałłasz; kompozycja pantomimiczna — Leon Górecki; premiera — maj 1971.**

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

„Strefy"

KSIĄŻKA

Dobiegający końca rok jak zwykle obliguje do podsumowań i ocen. I jeżeli miałbym na podstawie tegorocznych publikacji książkowych odpowiedzieć na pytanie: zły był, czy dobry, to mimo wysokiej fali przeciętności odpowiedź formułowałaby mi się pozytywnie. Uprawnia mnie do tego pojawienie się w poezji i prozie kilkunastu tomów, o których wiele się mówiło, a które zapewne długo jeszcze będą reprezentować żywe wartości artystyczne. Żeby wymienić tylko: „Fantomy" Kuncewiczowej, „Dziennik", Nałkowskiej, „Nic albo nic" Konwickiego, wiersze Barańczaka — „Jednym tchem" i wreszcie wybitne osiągnięcie naszej prozy współczesnej, daleko odbiegające od przeciętnej produkcji powieściowej — *„Strefy" Andrzeja Kuśniewicza.*

I tę właśnie powieść opatrzyłbym podtytułem „książka roku".

Jej autor tworzący nieco na uboczu literackich sporów i środowiskowych polemik, może trochę z przekory określił w jednym z wywiadów pisarstwo swoje jako hobby.

Już „Korupcja", pierwsza powieść Kuśniewicza była przykładem kunsztu pisarskiego i dużej skali możliwości autora. Późniejsze książki; „Eroica", „W drodze do Koryntu", „Król Obojga Sycylii" i „Strefy" potwierdziły oczekiwania krytyki i czytelników.

Kuśniewicz reprezentuje dość rzadką umiejętność pełnego organizowania swoich wizji z bardzo różnych elementów, nie ograniczając się do jednego tematu, jednego środowiska czy jednej metody twórczej. Z równą swobodą kreśli sylwetkę szlachcica polonusa z Kresów, karczmarza Żyda, chłopa ukraińskiego co i intelektualisty czy zahukanego urzędnika. Dlatego właśnie w „Strefach" tak harmonijnie współistnieje wiele światów, które gdzieś mają punkt wspólny.

Nie bez przyczyny wyliczyłem w jednym ciągu trzy narodowości i przypisanie ich do konkretnych warstw. Bowiem jedną z zasadniczych komponent tego pisarstwa — najżywszą w „Strefach" — jest sprawa wzajemnych (czy może antywzajemnych) stosunków trzech narodowości we wschodniej Galicji, wzajemnego — jak pisał kiedyś Przyboś — „zarażenia się wyobrażeniami o sobie". Coś z atmosfery faulknerowskiego hrabstwa Yoknapatawha, przepuszczonej przez zakręty naszej historii współczesnej.

„Strefy" rozgrywają się w kilku planach. Czasowych, geograficznych, kulturowych i psychicznych. Wykorzystując bogaty zestaw środków artystycznych, mieszając rzeczywistość i wyobrażenia, Kuśniewicz modeluje sprawnie, może jeszcze nie epopeję, ale na pewno bardzo szeroki obraz polskiej rzeczywistości przed- i powojennej.

Jego najnowsza powieść jest relacją o ludziach kształtowanych przez różne „strefy". Historyczne, klasowe, moralne, polityczne. „Strefą" najbardziej brzemienną w skutki, przez którą przechodzą bohaterowie książki — najpierw związani przyjaźnią i koleżeństwem, potem przedzieleni i przełamani — jest wojna. Przed nią była „strefa" młodości mieniąca się barwami wielonarodowych ziem wschodnich. Młodości wypełnionej wzajemną fascynacją trzech narodowości, poetyckich wzlotów i przygód. Po niej — „strefa" uporządkowanego życia, zautomatyzowanego i biernego, zakończona październikiem 56 r. i „strefa" miłości z echami okupacyjnymi.

Tak więc, mimo iż „Strefy" odczytuje się jako rzecz o przechodzeniu „ze świata chaosu i niepokoju w ustabilizowaną rzeczywistość", skłonny byłbym zasadniczą wartość powieści upatrywać w mistrzowskim rysowaniu wikłania się losów trzech społeczności i obrazie naszych powojennych już problemów, gdzie losy indywidualnych bohaterów stanowią nader interesujący materiał psychologiczny. Ale także w wielości tzw. środków wyrazu artystycznego, w łączeniu liryki z groteską, tradycyjnego powieściopisarstwa z formami nowoczesnymi, w sprawności języka.

Po ukazaniu się „Korupcji" pisał o Kuśniewiczu przywołany tu już raz Przyboś: „...nie ma wątpliwości, że to talent dojrzały do napisania rzeczy doskonałej. Jeśli skieruje uwagę na szerszy krąg swoich doświadczeń społecznych — to kto wie, czy nie on da to arcydzieło nieznane, do którego wzdychają i o które modlą się krytycy?".

„Strefy" są dalszym i konsekwentnym krokiem Kuśniewicza na tej drodze.

ANDRZEJ HAMPEL

„Za ścianą"

FILM

Jedynym sposobem wybrnięcia z trudnej sytuacji jest oswojenie się z nią. Potem już można analizować, ustawiać, eliminować, słowem, naginać problem do własnych potrzeb. I tak właśnie musiałam postąpić wobec potrzeby wybrania sobie jakiegoś polskiego filmu z tegorocznej produkcji (raczej — tegorocznej premiery), i mianowania go filmem najlepszym.

Nawyki historyka zmusiły mnie do przyjęcia dość żmudnej metody postępowania, która jednak okazała się niezwykle owocna. Sporządzenie listy filmów, które w tym roku doczekały się publicznej prezentacji nie było takie łatwe, jak to się komu może zdawać. Najtrudniej było wyeliminować z listy filmy, które zna się już od jakiegoś czasu, ale które z niewiadomych powodów tkwią jako konserwa w magazynach i czekają lepszych czasów. A właśnie wśród tych są co najmniej dwa tytuły „najlepsze". Tak czy owak, okazało się, że premiery miało w tym roku 27 filmów — wliczam w tę liczbę także i serie telewizyjne. Zresztą uważam, że tak zwane „filmy telewizyjne" w rzeczywistości nie różnią się niczym istotnym od filmów wyświetlanych w kinach. Obciążone handicapem gorszego wyglądu zewnętrznego (ileż to uroków plastycznych gubi się pomiędzy liniami ekranu, a ile przez naszą nieudolność w posługiwaniu się gałkami regulatorów), mają jednakże nieporównanie szerszy zasięg. A więc 27 tytułów. Przy tym niemała rozmaitość tematów, gatunków i stylów. Może się wydawać na pierwszy rzut oka, że dokonanie wyboru z takiej obfitości jest trudne, ale to tylko złudzenia optymistów.

Proces eliminacji prowadzony sine ira, długopisem wcale nie gniewnym (raczej znudzonym) bardzo szybko przywiódł do zestawienia pięciu filmów, z których każdy wart jest zainteresowania, bo zaspokaja zarówno potrzeby estetyczne, jak i intelektualne. Są to: „Epilog Norymberski" — Jerzego Antczaka i Bogusława Lambacha: „Kardiogram" — Romana Załuskiego i Janusza Pawłowskiego; „Na dobranoc" — Janusza Zaorskiego; „Za ścianą" — Krzysztofa Zanussiego i Jana Hesse, i „Życie rodzinne" — Krzysztofa Zanussiego i Witolda Sobocińskiego. Tyle tego. Tylko jeszcze gdzieś daleko, na pograniczu dobrego smaku kołaczą się „Nie lubię poniedziałku" Chmielewskiego i Jahody, oraz „Hydrozagadka" Kondratiuka.

W takiej konkurencji bardzo wyraźnie wysuwa się na czoło godzinny film, jak dotąd raz tylko pokazany przez telewizję, głośny i nagradzany *film Zanussiego „Za ścianą".*

Jest to film, dla zrozumienia którego nie trzeba być ani historykiem sztuki, ani fizykiem jądrowym, ani psychiatrą. Każdy, choć trochę wrażliwy człowiek może zrozumieć z łatwością o co tu chodzi. Ten film bowiem się odczuwa, tak jak się odczuwa miłość, żal, tęsknotę. Istota tego filmu wchodzi przez skórę dociera do umysłu ludzkiego przez podświadomość, niezależnie od faktów, słów, i całej, jakże prostej akcji, rozgrywającej się między dwojgiem ludzi na ekranie. Prostota i bezpretensjonalność są główną cechą wyróżniającą ten film od innych — jasność opowieści, oszczędny, cudownie codzienny, ale nie prostacki język, jakim posługują się bohaterowie, żelazna dyscyplina topografii planu to zalety warsztatu zawodowego reżysera Zanussiego, operatora Hesse i aktorów — Mai Komorowskiej oraz Zbigniewa Zapasiewicza.

Ale nie same wartości rzemieślnicze wysuwają ten film na czoło tegorocznej produkcji, a nawet nie wartości estetyczne. To coś więcej — może to atmosfera niewytłumaczalnego optymizmu, która promieniuje z tragicznej historii samotnego człowieka. Zanussi dokonuje przedziwnego zabiegu. Opowiada nam historię o tym jak dwoje ludzi nie może się ze sobą porozumieć i co z tego wynikło — a jednocześnie daje nam do zrozumienia, że lansowana usilnie przez sztukę teoria o niemożności porozumienia między ludźmi jest fikcją; że czasem tylko nie można udzielić właściwej pomocy innemu człowiekowi.

Kiedy zastanawiam się nad walorami filmu Zanussiego, pamiętam dobrze, że jest to film, któremu wiele z możliwości sugestywnego działania zostało odebranych już u kolebki; że film ten nie może podpierać się zachwycającymi kompozycjami barwnymi, czy też ascetyczną grą walorów czerni i bieli. Ale Hesse umiał wykorzystać telewizyjną zgrzebność obrazu, i z konieczności uczynił cnotę — spotęgował wrażenie jakie w tym filmie wywiera prostota — ziele dziwnie rzadko zakwitające w naszej sztuce.

Przyznaję się — „Za ścianą" wywarł na mnie wielkie wrażenie. Tak wielkie, że okna moich sąsiadów stały się dla mnie na jakiś czas źródłem rozmaitych dywagacji. Po „Ptakach" Hitchcocka bardzo nie lubiłam wróbli — ale to był odruch. Po filmie Zanussiego równie odruchowo zaczyna się rozmyślać. Czy to nie wielki sukces?

Pozostałe filmy z listy przyzwoitych można zestawić spokojnie ex aequo na drugim miejscu, ze specjalnym wyróżnieniem Janusza Zaorskiego — z wdzięczności za dobrą zabawę „Na dobranoc".

EWA NAGURSKA

Od naszego specjalnego wysłannika do Radomska

KAROL BADZIAK

SPRAWOZDANIE Z PROCESU STULECIA

Wypiął czy nie wypiął — oto jest hamletowskie pytanie, które stanęło przed Sądem Powiatowym w Radomsku. Roman Cielecki, nauczyciel tamtejszego liceum, napisał w „Gazecie Radomszczańskiej", że Niemen wypiął. Niemen twierdzi, że ukłonił się własnej orkiestrze. Na pomoc należałoby tu przywołać teorię względności, albowiem każdy ukłon jest jednocześnie wypięciem, a każde wypięcie ukłonem. Gdyby Niemen ukłonił się publiczności, wypiąłby na orkiestrę, która gotowa mu wytoczyć proces o zniewagę. Kłaniając się orkiestrze, obraził publiczność, w której imieniu ostro zaprotestował dzielny syn ziemi radomszczańskiej, Roman Cielecki. Co prawda Niemen uczynił to wypięcie przy zamkniętej kurtynie, lecz w Radomsku nic się nie da ukryć. Nie da się też ukryć, że sława tego spokojnego dotychczas miasta zatacza coraz większe kręgi w kraju.

Zaczęło się chyba od tego, że Jerzy Połomski śpiesząc niegdyś na festiwal do Opola, rozbił wóz w pobliżu Radomska. Rannego piosenkarza umieszczono wówczas w miejscowym szpitalu. Damski personel medyczny podzielił się skrzętnie jego włosami. Po prostu każda z pielęgniarek wzięła na pamiątkę jeden loczek jego bujnej czupryny. Wiadomość o tym wydarzeniu rozeszła się widocznie szybko wśród popularnych gwiazd estrady, gdyż wszyscy momentalnie zaczęli walczyć o prawo występów w tej popularnej już dziś miejscowości.

Nie muszę chyba dodawać, że publiczność Radomska jest bardzo wybredna. O jej muzykalności świadczy fakt, że jest to bodajże jedyne miasto powiatowe w Polsce, które posiada własną orkiestrę filharmoniczną. Działał tu również do niedawna znakomity kabaret „Nietoperz". Panuje przekonanie, że program artystyczny tego kabaretu nie ustępował wcale swym poziomem kabaretom stołecznym.

Kiedy więc zjawił się w Radomsku Grześkowiak ze swą „Silną Grupą pod Wezwaniem" i zawołał głośno: „Cicho wszędzie, głucho wszędzie, czy tak, kurwa, wszędzie będzie" — publiczność na sali zamarła z przerażenia i zawrzała z oburzenia. Najostrzej, oczywiście, wystąpili nauczyciele języka polskiego, jako że „Dziady" są lekturą obowiązkową w szkole. Sprawę omawiano nawet na konferencji rejonowej, gdzie nauczyciele doszli do zgodnego wniosku, że tylko osobnicy nieprzytomni mogli zdobyć się na tak publiczne parafrazowanie (czyt. profanowanie) Wieszcza.

Wszyscy już wiemy, czym się to dla Silnej Grupy skończyło. Trupa Grześkowiaka została na pół roku zawieszona w artystycznych czynnościach. Niemały udział miał w tym wszystkim i Roman Cielecki, który na łamach lokalnej prasy ostro występował przeciwko idolom, robiącym z tutejszej publiczności idiotów. Artyści poczuli się zniesławieni jego publikacją i oto w dniu 18 listopada br., akurat w przeddzień obchodów Dnia Nauczyciela, nauczyciel stanął przed Sądem Powiatowym, oskarżony z art. 178, par. 2 kk. Skończyła się zabawa, zaczęła się rozprawa. Nasz bohater w odświętnym garniturze, prosto spod igły, zasiadł na ławie oskarżonych. Twarz skupiona, włos płowy, wąs zamaszysty, spojrzenie łagodne, fajka odłożona na pulpicie. Tak właśnie zawsze sobie wyobrażałem człowieka świadomego, iż broni honoru Polski, oczywiście powiatowej. A jest czego bronić. I przed kim. Na sali sądowej same złote pióra prasy krajowej na czele z red. Konradem Turowskim, przedstawicielem „Kuriera Polskiego". Obok Konrada Turowskiego spostrzegam poważnego, z zawodowym smutkiem na obliczu, specjalnego korespondenta „Szpilek". Obok miejsca dla świadków, które kojarzy mi się z amboną, siedział młody człowiek z długimi, bardzo długimi włosami i z nabożeństwem w oczach pracowicie notował krzyżujące się pytania sądu, podchwytliwe pytania obrońców i błyskotliwe riposty oskarżonego. To nadzwyczajny korespondent „Tygodnika Powszechnego" i nadto całego szeregu pism świeckich, miasta Krakowa. Tak przynajmniej sam twierdził.

Wyjątkowe zainteresowanie tym procesem prasy literackiej i katolickiej zrozumiałe jest choćby i z tego względu, że bądź co bądź z Radomska wywodził się słynny ojciec Pirożyński, redemptorysta, wielki znawca i koneser europejskiej literatury. Parę lat temu miałem nawet zaszczyt poznać go osobiście i muszę stwierdzić, że zaimponował mi trwałością swych poglądów, na przykład na twórczość Stefana Żeromskiego, zwłaszcza, jeśli chodzi o „Dzieje grzechu". Choć przypominam sobie, że Zawieyskiego bardziej nie lubił, lecz z powodów chyba raczej pozaliterackich. Ale to już odległa historia, lepiej wróćmy na salę sądową, gdzie kłębi się tłum żądny... bardziej sensacji niż sprawiedliwości.

— Czy oskarżony był na występie Czesława Wydrzyckiego, ps. Niemen? — zapytuje przewodniczący sądu.

— Nie byłem — pada odpowiedź oskarżonego.

— A na występie „Silnej Grupy pod Wezwaniem" oskarżony był obecny?

— Nie. Nie byłem.

— Więc na jakiej podstawie oskarżony pisał?

— Tego domagała się ode mnie radomszczańska opinia publiczna, jako od współpracownika i przedstawiciela „Gazety Radomszczańskiej" — w której prowadzę stałą rubrykę pn. „Obrachunki kulturalne". Piszę kontrowersyjnie i jednoznacznie, więc mam dużo wrogów, ale jeszcze więcej przyjaciół.

— Kto był informatorem oskarżonego?

— Całe miasto, wszyscy, mówiło się o tym w klubach, domach kultury, na konferencji nauczycielskiej poruszali ten ważny problem poważni ludzie z kierowniczych kół tutejszego szkolnictwa.

— Czy oskarżony jest zwolennikiem czy przeciwnikiem Niemena jako artysty?

— Oczywiście zwolennikiem, wykorzystuję na lekcjach płyty z jego nagraniami. Chodzi o „Bema pamięci rapsod żałobny".

W tym momencie przestałem słuchać tego nadzwyczaj interesującego dialogu i zwróciłem się do siedzącej obok uczennicy z pytaniem, po czyjej stronie są uczniowie liceum.

— Klasa, w której uczy pan profesor Cielecki, jest za nim, klasy, w których pan Cielecki nie uczy, są za panem Niemenem — odrzekło śliczne dziewczę imieniem Iwona.

W dalszym ciągu dialogu między stronami (Niemen ku ubolewaniu publiczności na procesie się nie zjawił, powierzając reprezentowanie swych interesów adwokatom) chodziło o ustalenie od kogo, konkretnie, autor zniesławiającej publikacji czerpał informacje. Być może przewodniczący sądu, który ma bogate doświadczenie, dowiedział się o co strony wiodły spór, bo jeśli o mnie idzie — to przypomniała mi się w tym miejscu rozmowa kapitana z narratorem w przeuroczej skądinąd książce „Znaczy kapitan" Karola Borchardta na temat Quanto Costo. W dużym skrócie wyglądało to, mniej więcej, tak:

— Znaczy, pan z rana pokazał profesorowi Quanto Costo?

— Pokazałem, panie kapitanie, ale ta osada wcale nie nazywa się Quanto Costo.

— Znaczy, ja nic nie rozumiem, co pan mówi? Znaczy, jak się nazywa ta osada?

— Nie wiem, panie kapitanie, jak się ta osada nazywa i nie wiem, gdzie leży.

— Znaczy, pan przed chwilą oświadczył, że pan rozmawiał, i że mu pan pokazał i powiedział, że ta osada nazywa się Quanto Costo?

— Powiedziałem, panie kapitanie.

— Znaczy, jeśli pan powiedział, znaczy pan wiedział — logicznie rozumował kapitan.

— Nie wiedziałem, ale powiedziałem.

— Znaczy, proszę pana, znaczy, ja pierwszy raz w życiu słyszę, że ktoś nie wiedział i powiedział.

— Ależ, panie kapitanie...

— Znaczy, proszę pana, znaczy, skąd pan wiedział, że ta osada nazywa się Quanto Costo?

— Znaczy, profesor mówi, że panu pilot powiedział. Znaczy, który, ojciec czy syn?

(Rys. A. Grun)

— Ani ojciec, ani syn, panie kapitanie. Profesor nagle mnie zapytał, a ja nagle odpowiedziałem, że Quanto Costo.

— Znaczy, proszę pana, znaczy pan żąda, żebym ja uwierzył, że człowiek może coś powiedzieć, czego nie wie. Nawet znaczy, pokazać coś, czego nie ma. Znaczy, rozumie pan, ja tego nie rozumiem.

Sprawę definitywnie miała rozstrzygnąć galeria świadków. Na pierwszy ogień poszedł konferansjer, który niejako z urzędu brał udział w występach Niemena i zeznał pod przysięgą, że był, widział i nie widział. Znaczy nie widział, żeby Niemen wypiął Quanto Costo na publiczność. Potem wystąpiły dwie lokalne wielbicielki talentu wielkiego artysty. Obie podczas występów znajdowały się za kulisami. Jedna przyszła się tam rozerwać, ponieważ dowiedziała się tego dnia, iż jest rzekomo chora na raka, druga weszła za kulisy po prostu dlatego, że drzwi były otwarte. Prawie jak Kubuś Puchatek, który im dalej wchodził, tym bardziej widział, że go tam nie ma. Obie nic zdrożnego w zachowaniu idola nie spostrzegły, wręcz przeciwnie, błyszczał galanterią i dobrymi manierami. Ich dobra koleżanka w trakcie przerwy powiedziała do mnie: „Panie redaktorze, ja na występach Niemena nawet w Kutnie byłam i zachowywał się on tam elegancko".

Spośród świadków obrony, niestety, tylko jeden znajdował się za kulisami. Operator światła. Operator oświadczył, że widział jak Niemen ukłonił się swej orkiestrze, ale tak jakoś dziwnie, że można było przy tym zauważyć jego damską bieliznę spod kubraczka, którego połę nieco jedną ręką uchylił. W drugiej trzymał mikrofon. Świadek odczuł, że piosenkarz zawiedziony brakiem powszechnego aplauzu na widowni, wypiął...

Reszta świadków obrony nic nie widziała, ale słyszała od innych i bardzo ją to oburzyło. Chociaż nie, jeden z nich to trochę był za kulisami i słyszał, jak Niemen coś powiedział na literę „k" do dziewcząt, które weszły za kulisy po autografy. Ale nie jest pewien całkiem, czy Niemen powiedział: koleżanki kochane, czy: k... won stąd. Świadek ten zeznawał zresztą bardzo cicho, a ponieważ sądząc po stroju pochodził z kół zbliżonych do powiatowego zespołu big-beatowego, sędzia zapytał go, na jakim gra instrumencie.

— Na perkusji, proszę Wysokiego Sądu — odparł świadek.

W tej sytuacji sąd wykazał duże zrozumienie dla głuchoty świadka, jednakże rozprawa potoczyła się nadal bez aparatury wzmacniającej. Na szczęście pozostali świadkowie okazali się mniej muzykalni, więc większych kłopotów z ich przesłuchaniem nie było. Możliwe, że do meritum sprawy wnieśli niewiele, ale chociaż na pytania odpowiadali głośno. I słusznie. W tym dniu cały kraj spoglądał na Radomsko, którego mieszkańcy pierwsi skutecznie zaprotestowali przeciwko lekceważeniu prowincji przez gwiazdy pierwszej wielkości. Inna sprawa, że proces odroczono i wcale jeszcze nie wiadomo, kto go wygra. Szermierze obyczajności czy artyści, którzy, jak wiadomo, od najdawniejszych czasów pozostawali w kolizji z moralnością. Wiadomo bowiem, że im byli wybitniejsi, tym na brzydsze choroby umierali.

Prawdę mówiąc, Niemen jest mi „moralnie obojętny", jak powiedziałby wspomniany już ojciec Pirożyński. Nazwałem go nawet niegdyś (Niemena, nie Pirożyńskiego) w jednym z felietonów „Belfegorem polskiej piosenki". Procesu jednakże mi nie wytoczył. To zrozumiałe, starsi telewidzowie pamiętają, że Belfegorem okazała się w końcu wspaniała Juliette Greco.

Szkoda mi natomiast Grześkowiaka i „Silnej Grupy pod Wezwaniem", która się wprawdzie może nieco rozbestwiła, lecz za tyle rozkosznej radości, humoru i przedniej rozrywki, jakiej oni dostarczali ludziom, można im wiele wybaczyć. Co prawda, zawieszenie już im cofnięto, ale wątpię, czy grupa ta odrodzi się w takim samym składzie i repertuarze i z tym samym twórczym entuzjazmem. Ładunek satyry i dowcipu zawarty w piosenkach Grześkowiaka da się porównać tylko ze stylem i klasą gogolowskiego humoru. Jeśli więc Niemen jest Belfegorem polskiej piosenki — Grześkowiak jej Gogolem.

Prawdopodobnie to przypadek, że alotropowa odmiana gogolowskiego „Rewizora", czyli Janusz Prędki trafił właśnie w tym roku do Radomska. Ale jakże znamienny to przypadek.

Kiedy wyjeżdżałem z Radomska wpadła mi w ręce lokalna gazeta, w której Roman Cielecki prowadzi swe „Obrachunki kulturalne". W ciekawym felietonie pod podrobowym tytułem „Nauczycielom bukiet serc" przeczytałem: „Wielu z nas wynosi ze szkoły uraz na całe życie. Zapominając o tym, że owe kompleksy powstały w nie najmądrzejszym okresie naszego rozwoju. Młodym osłem był przecież każdy z nas, lub prawie każdy. (To zastrzeżenie dla ewentualnych geniuszy, którzy mogliby poczuć się zniesławieni); więc młodym osłem był prawie każdy z nas i wydawało nam się wtedy, że otacza nas rój durniów — nie tylko nauczycieli. Ale z wszystkiego się wyrasta, jak z krótkich portek i nadchodzi czas refleksji".

Święta prawda, mosterdzieju.

Lew *Tygrys syberyjski*

TERESA WOJCIECHOWSKA

Figaro tu, Figaro tam...

TAK właśnie z nim było, od pierwszej chwili, choć imię otrzymał znacznie później. Matka urodziła go i przestała się nim interesować. A on przyszedł na świat mocny, zdrowy i bardzo chciał żyć. Oznajmiał to przeraźliwym wrzaskiem, który zawierał i poczucie krzywdy porzuconego dziecka i żądanie, żeby się nim zająć. Więc zajęli się nim ludzie. Został umieszczony w jednym z pokojów biura Ogrodu Zoologicznego, gdzie przebywał przez sześć tygodni. Zaczęły się poszukiwania mamki. Na apel w gazecie zgłaszali się właściciele z suczkami. Ale psie matki nie chciały karmić tygrysa choć był maleńki, ważył po urodzeniu 130 dkg, widocznie bały się go. A Figaro był żarłoczny od urodzenia i głośno domagał się jedzenia. Pozostało więc mleko w proszku. Rolę karmicieli przejęli pracownicy naukowi ZOO i Figaro pogodził się z losem. A właściwie nie jest to określenie zbyt ścisłe, bo to raczej Figaro zaprowadził swoje rządy w biurze. Rano witał przychodzących miauknięciem i czekał. Gdy zbyt długo, jak na jego wymagania, nie następowało znajome trzaśnięcie drzwiami lodówki, w której znajdował się pokarm, Figaro domagał się śniadania skrobiąc łapami do drzwi lodówki. Nie życzył sobie też przebywać w samotności. A że był niezwykle ruchliwy, pełno go było to tu, to tam, zbudowano mu kojec w pobliżu biurka. Przy biurku stale ktoś siedział, żeby malec czuł obecność człowieka. Wtedy był zadowolony.

Myślę, że Figaro nie miał monotonnego dzieciństwa. Dzięki temu, że zaprzyjaźnił się z ludźmi, prowadził bardzo urozmaicone życie. Złożył trzynaście wizyt w przedszkolach, szkołach, szpitalu dziecięcym, a nawet w klubie oficerskim. Ale czas płynie, zęby i pazury rosną. I choć Figaro jeszcze nie gryzie, jego opiekunowie uznali, że skończył się kotek-tygrysek i czas wycieczki poza ZOO skończyć. Więc choć prawie ośmiokilogramowy Figaro w dalszym ciągu bawi się z ludźmi jak kociak, pozostali mu do zabawy tylko pracownicy ZOO. Wkroczył w okres młodzieńczy, mieszka na razie sam, ale dostanie do towarzystwa dwa lewki, gdy tylko te podrosną.

Wszelkie, wielokrotnie przeprowadzane próby zainteresowania Boty — matki Figara jej potomkiem spełzły na niczym. W młodej tygrysicy nie odezwał się instynkt macierzyński. Nie jest to wypadek odosobniony u drapieżników, nieufnych w stosunku do ludzi, bojących się ich. W warunkach niewoli, inaczej niż na wolności, budzi się instynkt macierzyński, który jest czasem słabszy niż strach.

Dlatego pierwszy poród w warunkach ogrodu zoologicznego jest zawsze próbą. Ludzie starają się jak najmniej ingerować w sprawy narodzin, wtrącać się między matkę i jej dzieci. Przedwczesne zabranie noworodka może go uratować, ale u samicy zniszczyć instynkt macierzyński na zawsze. I dlatego często poświęca się nawet pierwsze potomstwo, by uratować instynkt macierzyński, by wychować dobrą matkę. Trzy łódzkie tygrysice syberyjskie spodziewały się w tym roku potomstwa po raz pierwszy. Jedna z nich poroniła przedwcześnie, druga — matka Figara — porzuciła dziecko, trzecia była najczulszą matką dla swych trzech noworodków, okazało się jednak, że nie miała pokarmu. Gdy stwierdzono to po śmierci pierwszego, było już za późno na uratowanie pozostałych.

W warunkach niewoli instynkt macierzyński rozwija się bardzo różnie. Najłatwiej obserwować to u małp, najlepszych w świecie zwierzęcym matek, najczulszych opiekunek. Często młode matki nie wiedzą jak się obchodzić ze swymi noworodkami, boją się ich. Ale małpy żyją w stadzie i działa tu „pomoc sąsiedzka". Starsze samice, bardziej doświadczone uczą te młode pielęgnacji niemowląt.

U drapieżników jest inaczej. Strach przed ludźmi jest czasem silniejszy niż instynkt macierzyński, matka niszczy potomstwo w obawie przed niebezpieczeństwem. Jednak właściwe postępowanie ludzi sprawia, że i one z czasem stają się dobrymi matkami. Również w tym roku, w łódzkim ZOO (jako pierwszym z polskich ogrodów zoologicznych) urodził się niedźwiedź — wargacz. Gatunek ten rozmnaża się w warunkach niewoli niezwykle rzadko. Na wolności niedźwiedzie rodzą się w czasie snu zimowego matki i małe czerpią pokarm i ciepło podczas jej snu. W warunkach ogrodu zoologicznego niedźwiedzie rodzą „na jawie" i wszelka ludzka ingerencja mogłaby przynieść złe skutki. Udział człowieka polega więc tylko na nasłuchiwaniu przez ścianę czy wszystko jest w porządku. A w porządku jest wówczas gdy słychać już głośne cmokanie: matka karmi małe. Łódzka wargaczowa zniszczyła swe pierwsze potomstwo. W tym roku urodziła dwoje, jedno odrzuciła, drugim zajęła się troskliwie. Po pewnym czasie mały Funio jeździł już na grzbiecie matki (te cechę mają u niedźwiedzi jedynie wargacze. Na wolności matki wędrują z małymi na grzbiecie, a gdy już dzieci podrosną i stają się ciężkie jeżdżą na matce pojedynczo, zmieniając się co jakiś czas), a chował się w jej gęstym futrze tak dokładnie, że czasem obawiano się, iż zginął. Dziś Funio ma już prawie rok i trzeba było oddzielić go od matki, bo choć straciła już pokarm, on usiłował ją dalej ssać. To usamodzielnienie usiłował zamanifestować próbą rozebrania klatki i wdrapania się na najbliższe drzewo.

Innym przykładem wychowanej w ZOO matki jest antylopa gnu — Dzika (jej mąż ma na imię Wojak i ich imiona najlepiej określają stosunek tej pary do ludzi). Dzika nie interesowała się zupełnie swym pierwszym dzieckiem, ale ponieważ noworodek był zdrowy i silny uratowano go, karmiąc butelką przez siatkę. W następnym roku Dzika też nie zaopiekowała się swym potomkiem, był słaby i zginął. Dopiero dla trzeciego dziecka — samiczki Dzika stała się dobrą matką, wykarmiła ją i wychowała. W tym roku wydała potomka — samczyka po raz czwarty i instynkt macierzyński już pozostał. Młody gnu (noworodek waży około 20 kg) jest w doskonałej formie, podczas mojej wizyty posilał się z rodzicami przy jednym żłobie. Notabene ojciec gnu nie wtrąca się do pierwszych poczynań żony, usuwa się w kąt pomieszczenia. Dopiero gdy dziecko biega, włącza się do wspólnej zabawy. Antylopy gnu należą również do tych zwierząt, które w Polsce rozmnażają się tylko w łódzkim Ogrodzie Zoologicznym.

Tegoroczny przychówek naszego ZOO jest wyjątkowo bogaty. Przyszło po raz pierwszy na świat potomstwo młodej rodziny lwów. Dwa lewki Simony — Flip i Flap są już dziś sporymi okazami. Simona była dobrą matką, tylko trochę niecierpliwą. Po tygodniu troskliwej opieki zaczęła dzieci zaniedbywać. Jednak zawstydzona przez opiekunów wróciła do swych obowiązków. Flip i Flap to dorodne lwy. Przyszły na świat zdrowe, Simona miała dużo pokarmu więc z wychowaniem nie było kłopotów. Flipa i Flapa oczekuje podróż. Kiedy dorosną, zaczną zagraniczną karierę w Belgii. Druga lwica — Dada urodziła również dwójkę. Na razie są jeszcze małe, nie tak urodziwe jak synowie Simony, ale przecież istnieje powiedzenie, że brzydkie dzieci mogą tylko wyładnieć, natomiast ładne zbrzydnąć. Lwy oczywiście bywają tylko ładne.

Nowoczesna porodówka nie może się obejść bez inkubatora. Więc dobytek łódzkiego ZOO powiększył się o taki aparat. Jego „wychowankiem" jest mały struś nandu. Skojarzona w ubiegłym roku para nandu doczekała się potomstwa. Z osiemnastu jaj (każde wagi około 600 gramów) złożonych przez samicę, samiec wysiedział dwoje piskląt, a trzecie wykluło się właśnie w inkubatorze. Malec z inkubatora czuł się jednak samotny i poweselał dopiero gdy został dołączony do rodziny. Ojciec przyjął go bez sprzeciwów.

Lista tegorocznego przychówku jest spora, obejmuje obok zwierząt, o których pisałam: żbiki, aguti srebrzyste, lamy i guanaco, antylopę eland itd. Część z nich wywędruje do polskich i zagranicznych ogrodów zoologicznych (w połowie listopada odleciały do Amsterdamu dwa czarne łabędzie — samolotem oczywiście). Ale potomstwo w ZOO to nie tylko i nie przede wszystkim sprzedaż jednych i zakup innych, nowych okazów. To również sprawa ciekawych obserwacji naukowych i doświadczeń dla ludzi, a dla zwierząt chyba sprawa zadomowienia się w obcym miejscu, dobrego samopoczucia. Bo tam jest dom, gdzie rodzina i dzieci.

* * *

Być może Czytelnicy zauważyli, że zawsze przed świętami odwiedzam ZOO. Myślę, że w ciągu całego roku, zajęci ważniejszymi i poważniejszymi sprawami, nie mamy czasu ani pisać, ani czytać o czworonogach, które w naszym życiu społecznym i ekonomicznym nie spełniają właściwie żadnej roli. W czasie świąt jest właśnie na to czas. Więc niech mi wybaczą ci, którzy zwierząt nie lubią.

Zdjęcia: *R. Cwikliński*

Bez strachu

DOBRE UCZYNKI

Spotkałem człowieka wynędzniałego i obdartego. W milczeniu wręczyłem mu plik banknotów, by się odkarmił i przyodział. „Co to ma znaczyć — zapytał wynędzniały i obdarty człowiek, cofając się z trwogą. — Ja o niczym nie wiem. Jestem niewinny!" — wołał. „To, po prostu dla pana — dobry uczynek". Otoczyli nas przechodnie. „To ten tu napada na jakiegoś biedaka". „Nie, to sprzeczka jakiejś szajki o podział łupu". „Skandal, w biały dzień, pośrodku miasta!". Uciekłem zanim zdążyli dobrać mi się do skóry. Innego dnia kupiłem tabliczkę smakowitej czekolady i poczęstowałem dziewczynkę o bladej buzi. Zwinąłem się z bólu od nagłego uderzenia w plecy, to biła mnie parasolką jakaś czerwona z gniewu kobieta. „Jestem matką tego dziecka, widzę cię już od kilku chwil, bezwstydny łajdaku". Uciekłem jak zając. Pociechę znalazłem w czekoladzie, zjadłem całą tabliczkę. Wzmocniony, przechodziłem oblodzoną ulicą. Przypomniałem sobie, że dozorca najbliższego domu jest słabowitym staruszkiem. „Wyręczę go, ucieszy się starowina". Znalazłem koło drzwi żelazny łom i począłem z zapałem rąbać lód na ulicy. Zapomniałem przy tej robocie o całym świecie. Do rzeczywistości przywołał mnie drżący z żalu głos starca: „Wielu już chciało mnie wygryzać z tej posady, pokazywać, że ja już nie potrafię. Uważają, że czas, żebym umarł. Panu też potrzebny ten kawałek chleba po mnie?" Zawstydzony oddałem dozorcy łom, mamrocząc coś o dobrym uczynku, a starzec spoglądał na mnie oczami, które już tyle widziały, oczami człowieka, który już nie miał nadziei. Kupiłem dwa bilety do kina i chciałem zabrać na film chłopczyka, który oglądał fotosy z rozpromienioną twarzą. Chłopczyk uciekł, wołając, że dzisiaj naprawdę ma dzień wolny od lekcji, że szkoła zamknięta, że on w ogóle... Wszedłem do pierwszej bramy, wszedłem na jakiebądź piętro, zadzwoniłem do nieznanych drzwi. Otworzył mi niemłody jegomość w staroświeckiej bonżurce i filcowych pantoflach. „Proszę pana, ja chcę pomóc, dopomogę w czymkolwiek. Na pewno cokolwiek przychodzi panu zbyt ciężko, więc może we dwóch wspólnymi siłami". „Nie mam co dać" — powiedział starszy pan i zamknął drzwi. Zadzwoniłem ponownie. „Czego znowu, mówiłem, że nie popieram żebraków". „Kiedy ja, proszę pana, bezinteresownie, ja chcę spełnić dobry uczynek". „Precz" — krzyknął starszy pan. Sąsiadka otworzyła drzwi. „Panie sąsiedzie, niech pan go trzyma, ja skoczę po milicję, jestem pewna poza tym, że tu przychodzi i brudzi schody!". Ledwo uszedłem cały. Żyję teraz tak sobie, sobie tylko, sobie.

BERNARD SZTAJNERT

Znakomity zachodnioniemiecki pisarz Heinrich Böll wybrany został prezesem międzynarodowego PEN-Clubu. Austriak Robert Neumann, autor szeregu mistrzowskich dzieł, tłumaczonych na 26 języków, skierował do Bölla „list otwarty", opublikowany w tygodniku „Die Zeit". W kołach zainteresowanych życiem literackim list ten wywołał niemałą sensację. Robert Neumann, nestor PEN-Clubu, odsłania bowiem nieznane dotąd fakty z historii i życia tej międzynarodowej organizacji. Drukujemy list Roberta Neumanna z małymi — nie istotnymi — skrótami.

Pen-Club od podszewki

„Drogi Heinrichu Böll,

...praktycznie uczestniczę od momentu założenia, już od pięćdziesięciu lat w międzynarodowej organizacji... Nie będzie chyba bez znaczenia dla Pana poznanie, jakie było początkowo jej samookreślenie i czym jest ona dzisiaj — oraz co da się naprawić przy jej obecnym stanie... Kiedy założono PEN, w 1921 roku, naiwni wśród nas wierzyli, iż wraz ze zwycięstwem nad wilhelmowskim militaryzmem wybuchł pokój światowy — gwarantowany właśnie przez powstałą Ligę Narodów. O człowieku nazwiskiem Hitler nigdy nie słyszeliśmy.

Krótko: nastał właściwy moment dla wielkiego zbratania się pisarzy całego świata. Niejaka Dawson Scott, popularna w pewnych kołach Anglii ciocia od powieści, pierwsza zadęła w międzynarodową trąbę. Na figurę reprezentacyjną i pierwszego prezesa pozyskała ona Johna Galsworthy'ego, autora czytanego na całym świecie cyklu powieściowego „Saga Forsythów".

Na sygnał trąby odezwali się znaczni i mniej znaczni, jak zrządził przypadek w poszczególnych krajach. W pewnym wielkim europejskim państwie, gdzie życie literackie stało się już od dawna walką gangów literackich, przekazanie mandatu PEN najszybciej uwijającej się grupie, automatycznie sprawiło, że inne nie wzięły udziału, niestety właśnie te, które obejmowały najpoważniejszych pisarzy, pozostających do dziś dnia poza PEN-Clubem.

Z innego, wschodnioazjatyckiego kraju, na sygnał trąby zgłosił się — książę. Przedłożony przez niego spis członków wymieniał wyłącznie książąt, razem trzydziestu dwóch. Czy tam każdy książę pisuje, czy też każdy pisarz zostaje księciem — nie wiem do dziś dnia.

W innym znów, bardzo wielkim kraju Azji Wschodniej, oglądałem sytuację z bliska. Istniał tam związek 3.600 pisarzy, przeważnie biednych, przeważnie socjalistycznych. W swej lichej odzieży nie mogli oni lub wcale nie chcieli odwiedzać wspaniałego domu pewnej damy, która była tam PEN-em. A więc w czterystamilionowym kraju PEN składał się właśnie z owej prezesowej, milionerki pochodzącej z Belgii, która wyszła za krajowca, profesora uniwersytetu oraz z jego kolegów, profesorów tej samej uczelni.

Dalej opowiadać? O kwitnącym PEN-Clubie pewnego kraju Południowej Ameryki, którego sekretarka prowadziła przez długie lata ożywioną korespondencję z londyńskim generalnym sekretariatem — aż pewnego dnia przyjechała prawdziwa pisarka z tego kraju do Londynu. O wspomnianej, tak żywo korespondującej sekretarce nic nie wiedziała i zupełnie nic o tym, że istniał tam PEN — składający się, jak wyszło na jaw, z pewnej osamotnionej w jakiejś odległej wsi starszej pani, która nam ów bujny rozwój wmówiła.

To nic. Tuż obok, w sąsiednim państwie prezydent republiki był jednocześnie prezesem PEN-Clubu, a jego premier — sekretarzem. Taka była w przekroju światowym rzeczywistość — przeciwieństwo wyobrażenia cioci od powieści, Dawson Scott, że założyła w każdym kraju ekskluzywny klub najznakomitszych pisarzy. Nie zgadzało się, już wówczas się nie zgadzało.

Jeszcze bardziej nie zgadzało się, kiedy nastał Hitler. Tych, co książki na stosie palili, wyrzuciliśmy (po gwałtownym oporze), a spalonych na stosie, o ile chodziło o Niemców, zorganizował w Londynie Rudolf Olden, Austriaków — ja. Naszym największym problemem było, że prócz prawdziwych pisarzy zadziwiająco wielka liczba prześladowanych błagała brytyjski Home Office o wizy wjazdowe, każdy z uzasadnieniem, że właśnie on jest najbardziej narażony, w pierwszej kolejności godny ocalenia, najsławniejszy autor w całym Berlinie, Linzu, Klagenfurcie. Home Office żądał od Oldena, względnie ode mnie poręczenia awdziwości tych danych. Nawet gdy ktoś był nam zupełnie nie znany, oczywiście ręczyliśmy za niego: tak, to najsłynniejszy autor — twierdziliśmy, chociaż w rzeczywistości pisywał od czasu do czasu notatki do rubryki footballowej powiatówki w Pipidówce. W owych dniach paniki, śmierci i samobójstw nasze postępowanie było ludzkim obowiązkiem, ale proszę sobie wyobrazić, kto (obok prawdziwych pisarzy) dostał się dzięki naszym pobożnym kłamstwom do emigracyjnych PEN-Centrów.

...gromadka nie kwalifikujących się do repatriacji pozostała... w Londynie i Nowym Jorku jako nobody's darlings, niepożądani w obu państwach niemieckich. Tak więc nazwali siebie „Auslandsdeutscher PEN" (Niemiecki PEN-Club za granicą) i pozostali tam, gdzie byli. Chętnie dowiedziałbym się, czy od czasu śmierci ich patrona senatora McCarthy'ego w ogóle coś napisali...

Mimo to mają oni jeden głos w naszym międzynarodowym zgromadzeniu — na równi z USA, Anglią i Francją. Czterystamilionowe Indie mają tak samo jeden głos, jak te zacne relikty. I po jednym głosie ma każda inna, nawet najmniejsza grupa emigracyjna... Wszyscy razem są dzielnymi wrogami Moskwy — i kto ma ich przytulić, jeśli nie międzynarodowy PEN? Tylko, że na nieszczęście tworzą oni w naszym zgromadzeniu (które w międzyczasie rozrosło się do liczby 8.600 pisarzy z około 80 krajów), niezachwiany antykomunistyczny blok, dysponujący ilością głosów w żadnej mierze nie odpowiadający jego znaczeniu. Oni to uniemożliwiają prawdziwą, na zaufaniu opartą i owocną zachodnio-wschodnią koegzystencję.

...ze wszech miar zacny, bardzo dzielny i wytrwale po świecie podróżujący sekretarz generalny, jak by nie było brytyjski torys w starym stylu kiplingowskiej imperialnej romantyki, mimo dobrej woli nie może przezwyciężyć się, by stworzyć przeciwwagę tym przedawnionym komunistożerczym emigrantom... przez założenie antyfaszystowskich PEN-Clubów dla uciekinierów z American-Fruit-Co — republik Ameryki Łacińskiej, Afryki Południowej... lub z Grecji albo z baskijskiej prowincji Hiszpanii frankistowskiej.

W konsekwencji ani Związek Radziecki, ani Chiny Ludowe nie są członkami PEN, ale jeśli jakiś kraj Wschodniej Azji podzielony jest na północną i południową część — jak Wietnam i Korea — ta południowa jest niezawodnie „nasza", podczas gdy północnej niezawodnie u nas brakuje. (Rzecz sama przez się zrozumiała, że zarówno Taiwan, jak i Filipiny są „nasze").

Ostatni Międzynarodowy Kongres PEN-Clubu przed jubileuszowym zebraniem odbył się w południowokoreańskim Seulu, następny odbędzie się w Manilii brutalnego dyktatora Marcos, a ponieważ postępowi członkowie tam również nie pojadą, będzie w ich nieobecności prawdopodobnie postanowione, aby następnym razem przyjąć hołdy w Sajgonie lub w Atenach — wszędzie tam, gdzie finansowany przez administrację Nixona szukający alibi rząd, chętnie coś na ten cel wyda.

Tym samym dobrnąłem do sedna, to znaczy do pieniędzy. Międzynarodowy PEN nie posiada żadnych środków, jego generalny sekretarz nie otrzymuje uposażenia. Ale jest on w unii personalnej sekretarzem londyńskiego PEN-Clubu, który płaci mu pensję i opłaca jego podróże. Dla tak hojnego finansowania międzynarodowej organizacji (która, chcąc utrzymać swoją niezależność, zawsze odrzucała państwowe subwencje), londyński PEN pomnożył, gwoli składek, liczbę swoich członków do obecnie, zdaje się, tysiąca dwustu. Tysiąc dwustu angielskich pisarzy — członków w początkowym zamyśle „elitarnego" klubu! Gdybym powiedział — Böll, wymień Pan szybko dwudziestu albo, niech będzie, tylko tuzin angielskich pisarzy, których można zaliczyć do „elity" literackiej, przy jakiej to liczbie zaciąłby się Pan i przy której zamilkł?

...będziemy musieli wymyślić jakiś inny sposób finansowania międzynarodowej organizacji niż przez londyński PEN. Owych 1.200... może od swojego sekretarza przecież słusznie żądać, by wykonał, co uchwalą. Jeśli ich sekretarz jest identyczny z generalnym sekretarzem, który w czasie między kongresami kieruje losem międzynarodowego PEN, to wynika z tego decydujący wpływ owych tysiąc dwustu na światową organizację. Ileż to między nimi zacnych angielskich pań, autorek książek kucharskich?..."

Neumann wzywa Bölla do „zmodernizowania tego przestarzałego, a jednak nadal poruszającego się wehikułu". „Konkretnych, formalnych wniosków z NRF, NRD, z Austrii i innych krajów nie zabraknie" — pisze Robert Neumann — kończąc:

„Jestem przekonany, że Pańska współpraca z dotychczasowym generalnym sekretarzem ułoży się pomyślnie. Brytyjski torys jest dla międzynarodowego PEN-Clubu nie do przyjęcia tylko w przypadku, kiedy i prezes jest brytyjskim torysem. Jeśli jednak prezes jest postępowy, jak Pan, daje to mieszankę, po której my wszyscy wiele się spodziewamy".

(Przeł. LE-BE)

Lewym okiem

TRAMWAJOLOGIA

Pracujący łodzianin spędza w tramwaju przeciętnie jedną godzinę dziennie. Jeśli odjąć siedem godzin na sen, okazuje się, że w tramwaju mija nam jedna siedemnasta przeżytej na jawie doby, czyli po trzydziestu czterech latach możemy z dumą powiedzieć o sobie, żeśmy pełne dwa lata życia przetramwajowali.

Ale czy z dumą? Czy nie był to czas bezpowrotnie zmarnowany? Czy uczyniliśmy choćby cokolwiek, aby jazda tramwajem wzbogaciła naszą osobowość, rozszerzyła horyzonty, wzmocniła mięśnie i gruczoły wewnętrznego wydzielania?

Nie stać nas na to, żeby dwa lata życia trawić na prymitywne, byle jakie, bierne przemieszczanie się w przestrzeni przy pomocy środka. Najwyższy czas podejść do zagadnienia, postawić problem konstruktywnie i rozpracować kompleksowo. Aby sprawę wdrożyć, podejmujemy niniejszym próbę zarysowania prolegomenów ogólnego wstępu do konturów, nie roszcząc oczywiście pretensji do wyczerpania czytelników.

Jazda tramwajem zaczyna się, jak wiadomo, od czekania. Wymawianie półgłosem nieprzyzwoitych wyrazów rzadko kiedy prowadzi do przyspieszenia nadejścia wozu pożądanej linii. Wóz pożądanej linii przyjdzie i tak ostatni, po wyczerpaniu wszystkich kombinacji możliwych na odnośnym przystanku. Jeżeli pada śnieg lub deszcz, jeżeli jest upał, mróz, mgła lub co innego — czeka się zazwyczaj dłużej niż normalnie. I właściwie to właśnie wtedy jest normalnie. Moknięcie na przystantku należy nieodłącznie do jazdy tramwajem jako takiej i nie wymaga teoretycznej podbudowy.

Do tramwaju wsiada się przodem. Tyłem — tylko wówczas, kiedy chce się zapłacić za przejazd, a więc głównie w niedziele i święta.

Drzwi są na ogół zamknięte i od wewnątrz nikt ich nie otworzy, ze zrozumiałych względów: tam wewnątrz nikomu nie są potrzebne otwarte drzwi. Sami to zrozumiemy, jak tylko znajdziemy się w środku. Otwarcie drzwi od zewnątrz nie wymaga zresztą siły większej od tej, jaką Waldemar Baszanowski prezentuje lekko na olimpiadach. Najczęściej czterech panów, stojąc w błocie, na komendę jednej z piętnastu pań odsuwa wrota na szerokość, pozwalającą przecisnąć się połowie chętnych, po czym wskakuje jeszcze jeden pan wbijając się tak zwanym „bykiem" pomiędzy stojących wyżej, natomiast kilka pań zostaje i ogląda podarte pończoszki. Trudno, tramwaj to nie resursa, konduktor dzwoni a jak nie dzwoni to motorniczy i tak rusza.

Wciskając się do środka wozu należy energicznie pokrzykiwać: posuwać się tam, ludzie chcą jechać, a pani stanęła, jak (kolumna, figura, kołek w płocie, ta Salomea, żaba, purchawa; niepotrzebne skreślić)...

Natomiast po zorientowaniu się, że stoimy pewną stopą (przynajmniej jedną) i że wóz już bez nas nie odjedzie, dobrze jest zakrzyknąć gromko do tyłu: przecież na plecy ludziom nie wejdę! Lub też bardziej filozoficznie: tramwaj nie z gumy, panowie, jak babcię kocham!

(Wbrew narzekaniom na zanik więzi rodzinnych, wielu tramwajowych podróżnych kocha swoje babcie i lubi o tym opowiadać).

Ludzie w tramwaju są podekscytowani i wyprowadzają ich z równowagi zupełne głupstwa, jak naskoczenie z impetem na nagniotek, zawiśnięcie komuś na plecach, wbicie łokcia w przeponę lub posadzenie na kolanach żywej a przestraszonej kaczki. Niektórzy posuwają się nawet do słownego wyrażenia swego złego humoru, na co nie sposób nie zareagować. Nie radzimy jednakże tradycyjnej odzywki: „to jedź pan (pani) taksówką". Taksówki też są przepełnione, odkąd wożą kilkanaście osób na jeden licznik. Najwyższy czas sięgnąć po akcesoria nowocześniejsze: „to orbituj pan (pani) na sputniku, tam luźno".

Spożywanie w tramwaju zimnych i gorących posiłków przystoi wyłącznie konduktorom, którzy ponadto jako jedyni mają prawo narzekać na tłok w tramwaju. Wszyscy przecież mogą wysiąść, a oni — nie.

Tłok, zimno, duszno i niewyspanie konduktorów są niewątpliwie winą pasażerów, którzy w dodatku na złość nie mają drobnych, a chcą jechać. Po co jechać, po co? Szanujmy więc nerwy konduktorów i nie jeźdźmy bez koniecznej potrzeby.

Palenie papierosów nie jest wskazane, chyba że głęboko w rękawie i chyba że popiół strząsa się dyskretnie do kieszeni sąsiada.

Czytanie prasy pożądane, ale cudzej. Zaleca się przy tym posiąść umiejętność czytania do góry nogami, odpada wówczas konieczność stawania na głowie dla przeczytania odwrotnej, a więc najciekawszej strony pisma.

Co do konwersacji — najlepszym tematem na tramwaj jest młodzież, która nie ustępuje miejsca starszym, czyli nam. Za naszych czasów ten sam temat był tak samo popularny, tylko że w środowisku naszych rodziców. Pamiętamy jeszcze, że wystarczy patrzeć spokojnie w okno i nie słyszeć. Dzisiejsza młodzież też patrzy w okno i też nie słyszy. Co za czasy!

Jeśli chodzi o modę — w tramwaju nosi się siatki z zakupami, które plącząc się o guziki i o inne siatki, stają się nieraz początkiem miłej znajomości.

Wysiada się zawsze pospiesznie, przewracając stojących po drodze osobników, żeby zdążyć. Stratę kilku guzików przy wysiadaniu równoważy fakt, że jechało się bez biletu. Oczywiście nie dlatego bez biletu, że chciało się zaoszczędzić złotówki, tylko dlatego, że automaty do kasowania biletów zepsute. Poszły na klik-klak.

Wreszcie się jednak wysiada i znów świat jest piękny. Oddychamy głęboko i stwierdzamy, że jesteśmy całkiem gdzie indziej niż mieliśmy zamiar. To nic, to tylko zmieniono trasę. Nie należy się w żadnym razie załamywać. Stanąć na przystanku i czekać.

Byle świadomie i z należytym przygotowaniem, bez którego nawet jazda tramwajem jest zwykłą amatorszczyzną.

ĆWIEK

EUGENIUSZ IWANICKI

KŁAMSTWO

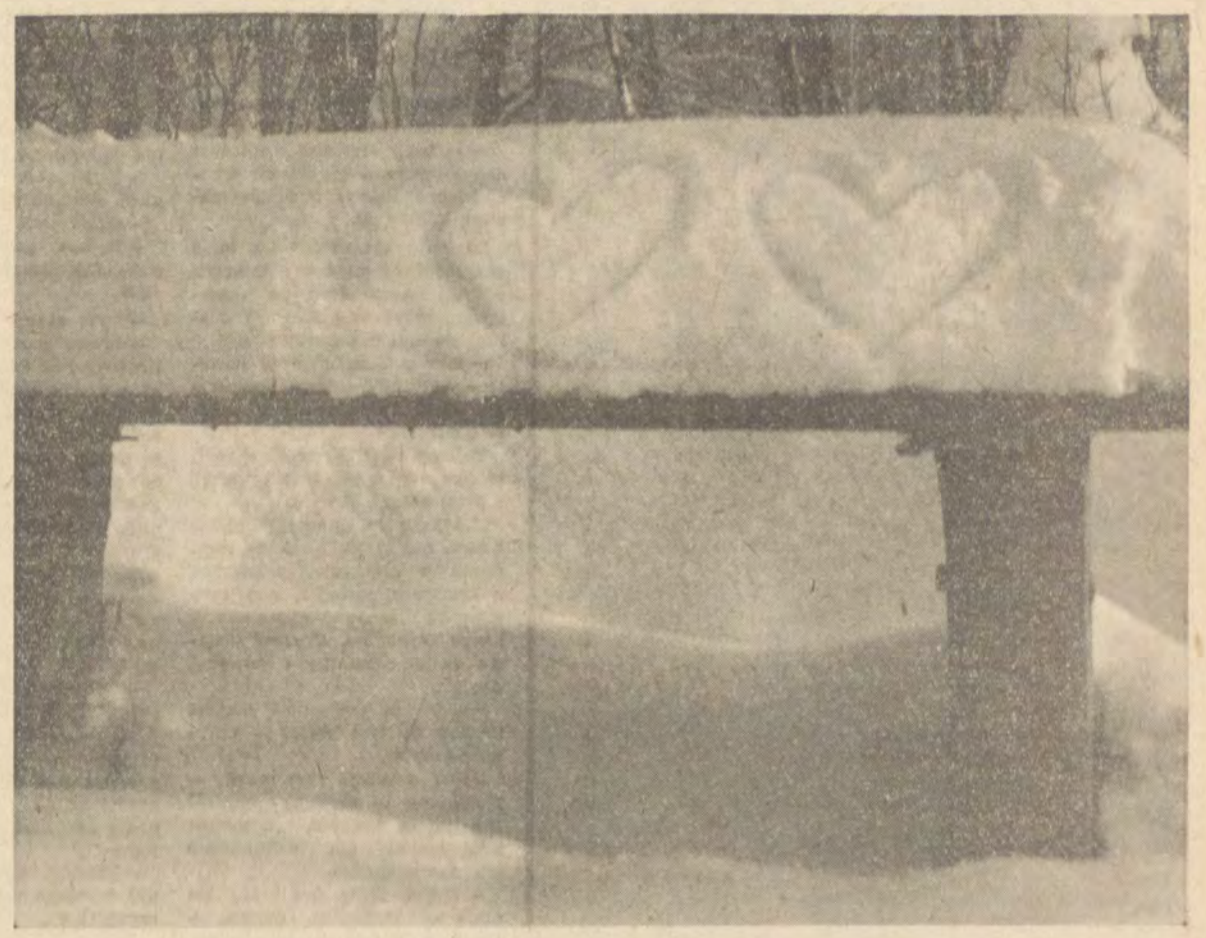

Fot. W. Parys

Stoimy na śniegu, w scenerii fantastycznych bieli i fioletów. Jest wczesny wieczór, pierwszy zmrok wywołujący światła w okolicznych domach. Dziewczyna, która stoi naprzeciw mnie, jest zjawą ze snów, postacią z mojej przemęczonej codziennością wyobraźni. Zjawiła się nagle, jak spełnienie noworocznych życzeń.

— Czekałam na to spotkanie — mówi.

— Spóźniliśmy się oboje co najmniej o piętnaście lat. — Usiłuję być cyniczny, lecz wrodzony zachwyt nad pięknem nie pozwala mi na kłamstwo. Wiem, że w ten prymitywny sposób chcę sobie zapewnić możliwość ucieczki.

Poznaliśmy się niedawno, przypadek poplątał nasze ścieżki i teraz stoimy na śniegu obserwując się wzajemnie, na próżno czekając na słowa, które nigdy nie zostaną wypowiedziane.

Dziewczyna jest piękna. Jej młodość, którą — czuję to — chce mi ofiarować, jest tylko potwierdzeniem mojej bezradności. Daje mi skarb, z którego już nie potrafię korzystać. Chce uczynić mnie bogaczem, nie wiedząc, że nie będę mógł, ani roztrwonić tego bogactwa, ani go pomnożyć.

— Dlaczego pan milczy?

— W ten sposób rozmawiam ze sobą. Zanim cokolwiek powiem, staram się wpierw poznać swoje słowa. W samotności, która stała się moim udziałem, nauczyłem się tej trudnej sztuki i teraz łatwo mi pytać siebie o zdanie. Lubi pani milczenie?

— Bo ja wiem? Przepadam za ludźmi i muzyką.

— Ale czyta pani książki.

— Tam rozmawiają inni.

— No, a dialog z autorem? W czasie naszego pierwszego spotkania wspomniała pani o rozmowie z autorem. Przyznała się pani, że to rozmowa ze mną w czasie lektury moich książek zmusiła panią do poznania mnie.

— Tak, to była wyjątkowa lektura. Ja naprawdę rozmawiałam z panem. Ale tam pan był inny, zupełnie inny...

— Rozczarowała się pani.

— I tak i nie. Wyobrażałam sobie jednak to wszystko inaczej.

— Jak?

— Wiem, powiedzmy, nawet ten śnieg. Koniecznie wieczór, i gwiazdy. Idziemy, wszystko jedno dokąd, i pan mówi. Chciałam usłyszeć te same słowa, jakich użył pan w książkach. Jak pan widzi, można kogoś polubić, nie znając go zupełnie.

— Taka filmowa sympatia?

— Nie, nie to. Urzekający świat prawdziwie dorosłego mężczyzny. Proszę wziąć mnie za rękę. A teraz chodźmy. Spacerował pan kiedy w taką noc?

Czy spacerowałem? Oczywiście. Pamiętam mrozy sklejające powieki, drzewa oszronione, milczące, głęboki śnieg i zimne usta dziewczyn topniejące w moim oddechu. Ale tamte zimy spłynęły wraz z odległymi latami, po których pozostały nieuporządkowane, przywalone stertą innych doświadczeń, wspomnienia. Dzisiejszy spacer nie ma nic z dawnych przeżyć. Jest noc, jest piękna dziewczyna, lecz nie ma mnie, tego sprzed piętnastu lat, chłopca o ustach niecierpliwych i zachłannych.

— Muszę panią przeprosić. Za kłamstwo — mówię. — Umawiając się na to spotkanie, oszukałem panią. Nie ma ani jednej rzeczy, która by nas łączyła, natomiast wszystko, cokolwiek posiadamy, dzieli nas. stanowi strefę, której nie potrafię przekroczyć. Toteż proszę mi wybaczyć to niewinne kłamstwo.

— A pańskie książki?

— Tam mówi ten, który miał o te kilkanaście lat mniej. To są jego słowa. Ja tylko je przekazuję, dodaję im czasem dojrzałości, nic ponadto.

— Niemożliwe!

— A jednak to prawda. Jestem pani wdzięczny za ten powrót w przeszłość.

— Nie rozumiem...

— Kiedyś i pani pojmie sens wędrówki. A teraz odprowadzę panią do tramwaju. Są nastroje, których nie należy płoszyć. Szczególnie, jeśli mają wystarczyć na długie dni samotności.

Minęliśmy rzadki zagajnik i wyszliśmy na pętlę tramwajową. Obok zimnej budki marzł konduktor z torbą oszronioną przymrozkiem. Metalowe okucia zmatowiały i pokryły się drobnym igliwiem. Twarz konduktora była kredowo-biała, niesamowita, daleka.

— Także czeka.

— Tak wygląda samotność, proszę pani. Wszędzie chłód: wewnątrz i na zewnątrz. Nawet, kiedy stąd odjedzie, nie będzie mógł już odtajać.

— Skąd pan wie? Może tylko czeka na tramwaj?

— Pisałem gdzieś, że ludzie samotni mają swoje znaki rozpoznawcze.

— Więc pan mnie okłamał... Wszystko, cokolwiek pan napisał, jest podłym kłamstwem, zgrywaniem się, niczym więcej. Jak tak można? Myślałam, że odnajdę w panu ciepło i ciszę, będę miała tę cząstkę, której nie było u innych. Tak nie można, ja...

W oczach dziewczyny jaskrawo odbiło się światło pobliskich latarni. Miałem pragnienie schwycić jej głowę w swoje ręce i zapomnieć, że dzieli nas jej młodość i moje lata doświadczeń. Gdzieś obok, wdeptana w twardy śnieg marzła wzgardzona miłość.

— A ja i tak będę o panu pamiętać — odwróciła głowę w stronę ruchomych światełek nadjeżdżającego tramwaju. — Będę czytać pańskie książki...

Pomogłem jej wejść do tramwaju, zamknąłem oblodzone drzwi.

Stojąc na udeptanym śniegu obserwowałem, jak usiłuje rozgrzać oddechem zamarzniętą szybę, jak niecierpliwi się, drapie paznokciami po szkle. Dostrzegam ruchy jej smukłej sylwetki i nagle czuję jej bliskość i ciepło, jej kobiecą obecność, gorący oddech, który zmusza mnie do zamknięcia oczu.

— Ma pan zapałki? — zapytał mnie konduktor. — Zmarzłem na kość.

— Nie, nie palę.

— Szkoda. A ta, to narzeczona?

— Nie poznał pan?

— Nie. Kto to taki?

— Miłość! — odpowiadam. — Proszę sobie wyobrazić, że była to miłość. Przyszła w zimę mojego życia, chcąc roztopić lodowce zalegające serce. I jak pan widzi, nic z tego. Za późno.

Konduktor zrobił krok do tyłu, wyciągnął ręce i nagle rzucił się w pogoń za tramwajem.

Zostałem sam. Nędzarz, który nie miał siły na przyjęcie ofiarowywanego mu skarbu.

WŁODZIMIERZ MITIN

NIECH SCZEZNĘ!

Dalszy ciąg ze str. 6

O, do diabła... A jednak mimo wszystko romantycznie jest jeść kolację przy świecach. Szkoda tylko, że adapter się zepsuł, „Bombersów" nie będziemy mogli przesłuchać. Prawda, kochanie? — z cichą złością powiedziała pani domu do męża. — Niech pan umyje ręce!

— Ja wszystko rozumiem — powiedział Katow i syknął z bólu, bo uderzył się głową o wiszący nad wanną prysznic. — Ja wiem, że to bardziej romantycznie... ale dlaczego w łazience też ciemno? Przyznaj się, że wysiadły ci korki i nie umiesz ich naprawić. Chętnie pomogę, znam się na tym!

— Dobrze — snopem światła z kieszonkowej latarki gospodarz oślepił spłoszonego gościa. — Wszystko ci powiem, ale najpierw musisz dać słowo honoru... Eeee, nie — po oczach widzę, że...

— Zabierz to światło! — krzyknął gość. — Słyszysz? Daję słowo!

— O, nie tak. Powtórz: niech sczezne!

— Niech sczezne — ponurym głosem, powtarzanym echem pustej łazienki rzekł Katów. — Niech mi wątroba pęknie na kilka części...

— Wystarczy — ulitował się nad nim Merin. — Teraz wierzę. Ale niech cię ręka boska broni...

— Przysięgałem przecież! — wykrzyknął Katow i nawet chciał paść na kolana, ale przypomniał sobie o swych obcisłych, modnych spodniach i dał spokój. — Niech mnie wszyscy diabli — powtórzył na wszelki wypadek...

— Słuchaj — Merin zgasił latarkę. — Towarzyszka mego życia nie zapłaciła, przez niedopatrzenie, za światło. Oprócz tego przeróżne elektryczne aparaty zżarły tyle prądu, że jednej pensji by nie wystarczyło, aby zadowolić inkasenta. Dlatego wziąłem nawet prace zlecone do domu, ale cóż: za późno! Wyłączyli mi prąd. Żona twierdzi, jak zwykle, że to moja wina... Zaczekaj! Co ci się stało? Szampana kupiłem... sardynki kupiłem... draniu jeden!

Próbował złapać Katowa, ale ten był już na schodach i co sił w nogach pędził do automatu telefonicznego. Uczucie głodu, jakie go męczyło od samego rana, ustąpiło miejsca innemu uczuciu: wielkiemu i jasnemu ciepłu. Oczywiście w pierwszej budce słuchawka była wyrwana razem z łańcuchem. Drżąc całym ciałem Katow wdarł się do drugiej i nie zwracając uwagi na jakiś miękki przedmiot, leżący na jego drodze, zaczął pogiętym palcem wykręcać numer telefonu na trzeszczącej tarczy.

— Pani Mario! — wrzasnął ciężko dysząc Katow. — A niech to... Znowu nie łączy!... Pani Mario!

— Słucham — lodowatym głosem przemówiła pani Maria po drugiej stronie sznura. — Proszę mówić głośniej, bo nic nie słyszę.

Katow w mig pojął o co chodzi i jak już to praktykował wiele razy, zaczął mówić nie do mikrofonu, lecz do części słuchowej. Krzyczał, to znów błyskawicznie przyciskając podziurkowany otwór do ucha Katow, jak żongler, rozmawiał z panią Marią:

— Tu mówi Katow! Muszę zakomunikować pani hiobową wieść. Tylko, sza!...

— So... ka... hu... wa... — usłyszał z drugiej strony słuchawki... — ech, pan... ówi...

— Nie, najpierw niech pani przysięgnie!

...ura, ...ecież pan mnie ...a — słyszał Katow przyciskając słuchawkę do ucha. — Przysięgam na życie moich dzieci. Nikomu! Niech sczezne!

Ostatnią klątwę Katow poczuł nieomal fizycznie: z wyciem i krzykiem piekielnym kończy się oto życie nieszczęsnej kobiety o słabej woli.

— Dobrze. Proszę sobie wyobrazić, że Merinowa zapomniała zapłacić za światło... Ha! Ha! Ha!... Zapomniała... Rozumie pani? Za dwa lata! Anielska cierpliwość elektrowni wreszcie się wyczerpała... A jej mąż z rozpaczy się rozpił. Jak Boga kocham! To wszystko czysta prawda! A lokatorzy z dołu podają ich do sądu o odszkodowanie za zdewastowanie mieszkania: ciecze od nich aż po samą piwnicę. Makabra! A jacy są bezczelni — jeszcze przyjęcia urządzają... A z czego żyją? Oczywiście, łapówki...

Sasza lekkim krokiem wyszedł z budki telefonicznej, zrzucił niedbałym ruchem resztki tortu z rękawa i z buta. Oczyma duszy widział, co się w tej chwili dzieje w dalekim przedpokoju...

— Alusiu! — krzyczała pani Maria do słuchawki, gasząc niedopałek papierosa w doniczce z kaktusem, szczęśliwa, że nareszcie udało się jej połączyć z Alicją Hapon. — Ale pamiętaj, otrzymałam tę wiadomość w sposób tajemny i gwarantujący prawdopodobieństwo. Przysięgnij na życie męża... Nie, raczej na zdrowie Wadima... Nikt się nie dowie? No, to słuchaj uważnie, a na wszelki wypadek trzymaj się czegoś, albo usiądź. Siedzisz? Kilkanaście minut temu Merina odwieziono do szpitala wariatów... Zbił żonę prawie na śmierć. Zawalił się sufit... Co? To naturalne? Przecież wiesz, że Merin to zawodowy pijak i łobuz. Od wielu lat bił żonę. I tego dnia też: wrócił pijany, pobił ją, a potem poszedł do kuchni, a ta idiotka zapomniała wyłączyć gaz. Merin zapala zapałkę, trrrrach!... I wszystko gotowe. Dobre, co?

Pędzony ciekawością co sił w nogach zbliżałem się do domu, w którym mieszkali Merinowie. Pół godziny temu mój przyjaciel Kola, któremu przysięgałem na wszystkie świętości, że nikomu nie powiem — opowiedział mi, że Merin zabił swoją żonę i wysadził w powietrze dom, o czym od razu powiadomiłem dyrektora Hołownego, a ten zapewniał mnie, że wpierw skona w mękach, nim komukolwiek o tym powie, jak to Merin zdewastował przez pijaństwo i lekkomyślność całą dzielnicę...

Drzwi otworzył mi sam Merin. Cały był pokryty stearyną. Przypominał postać z gabinetu figur woskowych madame Tussaud.

— Nieszczęście — powiedział. — A to ci dopiero los. Nieopatrznie wypuściłem z domu tego łobuza, Katowa, a ten, jak wiesz... Nie mogę się dodzwonić do elektrowni...

— Wania — zmęczonym głosem wyszeptała żona. — Daj mi szesnaście kropel nervosolu... Już księżyc się pojawił...

Kopcące świece zaczadziły ciasne i niskie mieszkanie w nowych blokach, które było do niedawna dumą Merinów. Z konserwowej puszki wraz z oliwą na białą serwetę wypływały sardynki.

— Ta świnia, Katow! — zaciskając pięści powiedział Merin. — Pił u nas, jadł, spał... Jak brata przyjmowaliśmy go, a on... azjatycka dusza! Kto tylko do nas już nie przyjeżdżał: milicja i straż pożarna i z domu wariatów pogotowie, ledwie się ich pozbyłem... Ech! Ta świnia Katow!

— Za dużo mu powiedziałeś — surowym głosem upomniałem Merina, wchodząc. — Oprócz tego... za bardzo lubimy donosić...

— Chyba masz rację...

Zajaśniało na chwilę w przedpokoju, to myśmy poczerwienieli ze wstydu.

— Wiesz co — rzekł Merin — Przysięgnijmy sobie po raz ostatni, że już nigdy nikomu nic...

Towarzyszyła nam przy tym, powtarzając słabym głosem, jego małżonka. Po tej ostatniej przysiędze zacząłem się rozglądać dokoła. Spojrzałem na Merinę. Czy ten siniak pod jej okiem nie jest przypadkiem rezultatem małżeńskiego nieporozumienia. Może dał jej w mor...

Zadzwonił telefon. Merin podniósł słuchawkę.

— Panie Michale! Panie Michale — usłyszałem drżący głos Merina. — Co też pan opowiada! Przecież pan mnie zna. Studnia, grób, mogiła! Przysięgam! Jak Boga... To Pietrow? Duża suma, powiada pan. No, no! Już siedzi! Ho! Ho! Ho! Wiedziałem, że tak będzie: karty i wódka do dobrego nie prowadzą. Tak? Nieprawdopodobne!

Merin chwycił mnie już na schodach, ale mu się wyrwałem i pobiegłem.

— Budka telefoniczna jest na rogu! — krzyknął jeszcze, a ja, pędząc, poczułem w dłoni zdawkową monetę, którą miałem wrzucić do otworu automatu...

Tłumaczył:

ROMAN GORZELSKI

EDWARD D. HOCH

Chiromantka

Drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł tęgi, łysy mężczyzna.

— Czy pan Alex Darlan, prywatny detektyw? — zapytał.

— Tak, to ja. Lecz przeszedłem już w stan spoczynku i nie pracuję jako detektyw.

— Co też pan mówi! — zdenerwował się interesant. — Nie może pan tego uczynić!

Darlan uśmiechnął się. — Proszę siadać, panie...

— Browser. Wilmer Browser. Oto moja wizytówka.

— Muzeum Maggera — przeczytał detektyw. — Coś o nim słyszałem. Czy pan jest dyrektorem?

— Tak. Może pan czytał o naszej kolekcji nowoczesnej sztuki francuskiej?

— Zapewne. Ale jak już powiedziałem nie mógłbym zajmować się żadną sprawą. Choruję na serce. Przed trzema dniami wyszedłem ze szpitala.

— Więc do kogo mam się teraz udać?

— Jest przecież jeszcze inny detektyw, Sam Cadan.

— Odebrano mu patent za jakieś nieetyczne postępowanie.

— Nie wiedziałem o tym.

— A więc tylko pan pozostał w naszym mieście. Może pan chociaż pozwoli, żebym opowiedział o co mi chodzi? Sprawa jest dość zawikłana.

— Słucham pana. Lecz niczego nie obiecuję. Widzi pan te walizki porozkładane na podłodze? Zacząłem się już pakować, chcę wyjechać z miasta na dłuższy czas.

— Nie zabiorę panu wiele czasu. Czy pan słyszał o kobiecie, która się nazywa Laura Fain?

— Chyba nie.

— Możliwe, ponieważ dotychczas działa przeważnie w Europie. Interpol umieścił ją na jednym z pierwszych miejsc wśród złodziei dzieł sztuki. A między kradnącymi kobietami jest na pewno pierwszą.

— Dlaczego jej nie uwięziono? — zapytał Darlan.

— Ponieważ nikt nie przyłapał jej na gorącym uczynku. Jest to sprytna kobieta, a poza tym młoda i pełna wdzięku.

— Czy panu już coś ukradła?

— Jeszcze nie. Ale dlaczego teraz przyjechała do tego miasta? To mi nie daje spokoju.

— Czy pan był w tej sprawie w komendzie policji?

— Nie. Bo cóż mógłbym im powiedzieć?

— Sierżant Nellis jest dzielnym agentem i także moim przyjacielem. Mógłby panu pomóc.

Browser potrząsnął głową przecząco. — Nie ten rodzaj pomocy jest mi potrzebny. Cóż by mi przyszło z jej aresztowania, gdyby moje obrazy były już w drodze do Europy?

— Więc o co panu chodzi?

— Chciałbym, żeby ktoś uprzedził tę kobietę, że zaczniemy deptać jej po piętach. A później należałoby pilnować, czy się trzyma z daleka od mojej galerii. Tego nie podejmie się policja.

— Pańskiej galerii?

— Ponieważ traktuję te obrazy jak moje! Stary Magger był moim wielkim przyjacielem i jego ostatnim życzeniem przed śmiercią było uczynić mnie dożywotnim dyrektorem galerii.

— Co ma pan tam najcenniejszego?

— Obrazy, Cézanne'a, Degasa i Matisse'a. Czy pan wie ile one są dziś warte?

— Nie mam pojęcia.

Detektyw czuł, że zaczyna go pociągać ta sprawa. — Kto panu powiedział, że Laura Fain jest w naszym mieście?

— Pewien europejski handlarz obrazów, który ma przyjaciół w Interpolu. Zauważono ją u nas kilka dni temu. Lecz Interpol nie działa w naszym kraju.

— Na pewno zawiadomiono o tym policję — zauważył Darlan.

— O na pewno. Jestem przekonany, że ta sprawa leży w komendzie, w biurku jakiegoś specjalisty. Do wykorzystania w razie kradzieży. Lecz może być już za późno, gdy wyruszą do akcji.

— Czy miss Fain działa ze wspólnikami?

— Jest tak zręczna, że ich nie potrzebuje. A więc zgadza się pan pracować dla mnie?

Darlan westchnął. — Dobrze, będę pracował, lecz tylko przez tydzień, dłużej nie. Moje honorarium wynosi dwieście dolarów dziennie. Oraz wydatki związane ze sprawą.

— Zgadzam się na wszystko! — zawołał z radością Browser...

— — —

Detektyw udał się do komendy policji, aby zobaczyć się z sierżantem Nellisem. Zastał go pochylonego nad kartoteką pełną żółtych kopert. W kilku słowach wyjaśnił mu cel swej wizyty.

— Chciałbyś zasięgnąć informacji o Wilmerze Browser? — zapytał sierżant. Niewiele o nim wiem, tylko to, co wyczytałem w gazetach. Gdy Magger zmarł zostawił muzeum całkowicie pod jego opieką. Otwarte dla publiczności raz w tygodniu, na pozostałe dni jest zarezerwowane dla naukowców i krytyków sztuki. Ostatnio muzeum nabyło dużą ilość płócien francuskich malarzy, podobno niezwykle cennych.

Darlan przytaknął. — A teraz czy mógłbyś mi coś powiedzieć o miss Laurze Fain, która niedawno przybyła z Europy? Znanej złodziejce obrazów?

— Zobaczę, co mam w kartotece. Niekiedy Interpol przesyła mi jakieś wiadomości o przestępcach.

Po chwili Nellis wyciągnął żółtą kopertę, wyjął z niej kartkę i przeczytał:

„Laura Fain, inaczej Madame Laura, ma 35 lat, Angielka, urodzona w Londynie, podejrzana o kradzieże obrazów, trzy razy aresztowana, lecz zwolniona z braku dowodów. Czasem uchodzi za chiromantkę i jasnowidzącą".

— Czy nie poczyniłeś jakichś kroków po tym liście? — zapytał detektyw.

Nellis wzruszył ramionami. — I cóż my tu możemy czynić? Nie mamy żadnych dowodów przestępstwa, ani dokonanego ani zamierzonego.

— Widzę, że to jest praca dla mnie — stwierdził Darlan. — Dziękuję ci za wiadomości, Nel. Zobaczymy się niedługo. Do widzenia!...

— — — —

Po dwóch dniach poszukiwań Darlan dowiedział się, że jakaś chiromantka, Angielka, czaczęła od tygodnia przyjmować interesantów w lokalu przy Hudson Street. Nazywano ją Cyganką Laurą. Udał się tam natychmiast.

Na drzwiach był napis: „Madame Laura, chiromantka". Wszedł do środka. Umeblowanie pokoju było skromne: stolik, dwa krzesła, kozetka. Na ścianie wisiała wielka fotografia ręki.

— Słucham, czego pan sobie życzy? — rozległ się głos kobiety.

Darlan szybko odwrócił się. Zobaczył piękną, jasną blondynkę. — Czy pani wróży z ręki? — zapytał wskazując fotografię.

Przyglądała mu się bacznie. — Pan jest chyba z policji?

— Dlaczego?

— Nachodzą mnie czasem.

Darlan nie odpowiedział.

— Powróżyć panu z ręki czy z kart?

— Z kart.

Chiromantka wyciągnęła pięć kart z talii. — As trefl: ostrzeżenie, dama kier: niespodziewane spotkanie z blondynką, walet pik: fałszywy mężczyzna, dziesiątka karo: niech się pan strzeże złośliwych plotek, ostatnia karta: czeka pana daleka podróż.

— Dosyć tej komedii, miss Fain! — krzyknął detektyw.

Oczy kobiety zabłysły gniewem. — A więc nie omyliłam się, jest pan policjantem!

Darlan przedstawił legitymację: — Jestem prywatnym detektywem.

— Kto pana zaangażował?

— Muzeum Magger. Dyrektorowi nie podoba się pani obecność w naszym mieście i życzy sobie, żeby się pani stąd wyniosła. Zobowiązał mnie, abym się tym zajął.

— Nie przyjechałam tu, żeby kraść skarby tego wariata. Chcę pracować i zacząć życie od nowa.

— Nie wierzę w to. Będę miał panią stale na oku. Do widzenia!

Detektyw otwierając drzwiczki swego samochodu usłyszał wołanie: Darlan!

Obejrzał się, zobaczył Sama Cadana.

— Alex, chciałbym z tobą porozmawiać — rzekł Cadan.

— Jaką masz do mnie sprawę? — zapytał Darlan.

— Chciałbym, żebyś mi dał jakąś robotę, nawet za parę dolarów. Pragnę wyjechać do Nowego Jorku.

— Dobrze, zawiadomię cię, gdy się coś znajdzie.

Następnego dnia rano detektyw zaparkował auto w pobliżu mieszkania chiromantki. Po godzinie obserwacji zobaczył postać Laury Fain. Wsiadła do auta angielskiej marki. Pojechał za nią. Wkrótce zatrzymała się przed Muzeum Magger. Był właśnie dzień, w którym otwierano muzeum dla publiczności. Darlan wszedł do środka posuwając się tuż za miss Fain. Weszła do sali nowoczesnej sztuki francuskiej i zatrzymała się przed obrazami Renoira i Cézanne'a. Widział, że pochłania je wzrokiem.

Gdy po godzinie wyszła na ulicę, zastąpił jej drogę.

— Dzień dobry, miss Fain!

— O, nasz policjant! Czy chce pan mnie zrewidować? — szydziła.

— Tym razem nie.

— Muszę panu powiedzieć, że Browser jest oszustem. Te obrazy malarzy francuskich są fałszywe. Wspaniale wykonane kopie oryginałów. Podejrzewam, że pan Browser sprzedawał cenne płótna i zastępował je kopiami. Teraz po moim przyjeździe, widzi idealną okazję, żeby symulować kradzież i zrzucić winę na mnie! Taki już mój los, przez całe życie oskarżano mnie o czyny nie popełnione, lecz tym razem będę się broniła!

— Zobaczymy. Poszukam eksperta, który zbada obrazy...

Darlan wsiadł do samochodu. Przypomniało mu się nagle, iż Sam Cadan pracował niegdyś w galerii sztuki w Chicago. W domu odszukał numer jego telefonu.

— Słuchaj, Sam, czy umiałbyś odróżnić fałszywy obraz od oryginału?

— Myślę, że tak.

— Dam ci dwadzieścia dolarów, jeżeli zaraz pójdziesz do Muzeum Magger i sprawdzisz czy znajdujące się tam obrazy nowoczesnego malarstwa francuskiego są oryginałami. Muszę ci wyjaśnić o co chodzi. Otóż pewna Angielka, miss Laura Fain, znana w Europie jako złodziejka obrazów, przebywająca obecnie w naszym mieście jako chiromantka Laura, stwierdziła, że obrazy francuskie w Muzeum Magger są falsyfikatami.

— Dobrze, sprawdzę to, dziękuję ci, Al!...

Darlan z niecierpliwością czekał na ekspertyzę, lecz mijały godziny a Cadan nie odzywał się. Dopiero o 19-ej odezwał się telefon. Mówił Nellis:

— Chciałbym przekazać ci wiadomość, która może cię zainteresuje. Twój dawny kolega, Sam Cadan, został zastrzelony w pobliżu Muzeum Maggera. W kieszeni zmarłego znaleźliśmy kartkę z notatką: „Muzeum Magger, nowoczesna sztuka francuska, Laura Fain, 20 dolarów od Alexa Darlana". Czy Cadan pracował dla ciebie?

— Tak. Laura Fain utrzymuje, że obrazy francuskie w muzeum są fałszywe. Wysyłałem więc Cadana, aby to sprawdził.

— Może właśnie dlatego został zamordowany! — krzyknął Nellis. — Wykrył, że wiszą tam falsyfikaty i Browser go usunął. Kto wie, co się jeszcze może wydarzyć, wzmocnię straże. Do widzenia, zawiadomię cię o wszystkim!...

Darlan zamyślił się. A więc posłał na śmierć swego kolegę... Musi teraz zobaczyć się z Laurą Fain.

Zastał ją siedzącą nad pasjansem.

— Jak idą interesy? — zapytał.

— Bardzo źle. Rzucę to wszystko i wrócę do Anglii.

— Niezły pomysł!

— Czy pan sprawdził moją opinię o falsyfikatach?

— Myślę, że tak. I sądzę, że niedługo będę mógł sprawdzić inne jeszcze rzeczy.

— Co to znaczy?

— Być może, iż Browser spróbuje coś zrobić tej nocy. Dlatego chciałbym, żeby pani trzymała się z daleka od Muzeum Maggera. I żeby ktoś był z panią. Należy przeszkodzić Browserowi w zrzuceniu winy na panią.

— Dobrze, pójdę do sąsiadki i będę tam czekała na wiadomość od pana. Dziękuję za życzliwość...

Darlan pojechał w kierunku muzeum. Był niedaleko, gdy usłyszał syreny pożarne. Budynek muzeum był prawie niewidoczny w kłębach gęstego dymu.

Detektyw wysiadł z auta i przepchnął się między tłumem do miejsca, gdzie znajdowała się policja.

— Co się stało, Nellis? — zapytał.

— Pilnowałem budynku z moimi ludźmi, gdy nagle wybuchł ogień w kilku miejscach równocześnie.

— A gdzie jest Browser?

— Tam przed wyjściem. Krzyczy rozpaczliwie, żeby ratować jego zbiory.

Darlan pobiegł do swego klienta.

— Nareszcie pan się zjawił! — krzyknął Browser. — Zapłaciłem panu za pilnowanie obrazów... A teraz ta przeklęta kobieta podpaliła je!

— Niech pan przestanie jęczeć! — rozkazał detektyw. — Zobaczę, co się tam dzieje.

Owiązał twarz chusteczką i rzucił się z pochyloną głową do wnętrza budynku. Dym stawał się coraz gęstszy, lecz ognia nie było widać. Nagle zobaczył światło elektrycznej lampki i strażaka, który posuwał się wśród ciemności. Niósł pod pachą kilka obrazów. Stanęli przed sobą na chwilę, lecz wystarczyło, żeby Darlan poznał, iż zamaskowany człowiek jest Laurą Fain.

— A więc zdążyła pani jeszcze na czas! Wyobrażam sobie, jak się pani musiała denerwować! — To mówiąc wyciągnął rękę, aby zerwać jej maskę.

Kobieta rzuciła swój ciężar na podłogę i wyciągnęła z kieszeni rewolwer. Padł strzał. Darlan poczuł straszliwy ból w żołądku i upadł...

Gdy się ocknął zobaczył pochylonego nad sobą sierżanta Nellisa. — Nie ruszaj się, Al, zaraz przyjedzie pogotowie — mówił Nellis.

Dym już się rozproszył i detektyw widział ludzi stojących wokoło. — Gdzie jest miss Fain? — zapytał.

— Złapaliśmy ją — rzekł sierżant. — Przyznała się do wszystkiego. Browser był jej wspólnikiem, razem to uknuli. Gdyby płótna francuskie były rzeczywiście fałszywe, nie posłużyliby się bombami dymnymi, lecz spaliliby kopie, aby nikt nie wykrył oszustwa. Sądzili, że w czasie zamieszania Laura Fain przebrana za strażaka, wyniesie dzieła. I rzeczywiście, Browser sam jej pomagał w momencie, gdy ją aresztowaliśmy.

— Kula Cadana... — jęknął detektyw.

— Bądź spokojny, zbadamy. Jestem pewny, że pochodzą z tej samej broni. Cadan został zabity, gdyż obrazy nie były fałszywe! Prawdopodobnie poszedł do mieszkania Laury Fain i powiedział jej o tym. Pojechali razem do muzeum i po drodze zabiła go, a następnie weszła do budynku, gdzie, wykorzystując nieuwagę strażników, podłożyła dymne bomby. Lecz należało przypuszczać, że opowiadanie o kopiach było zmyślone. Przecież muzeum jest prawie przez cały czas zarezerwowane dla historyków sztuki i krytyków. Jeżeli więc Laura mogła rozpoznać kopie po kilku minutach, to czy byłoby możliwe, żeby ci ludzie nie dostrzegli fałszu już od tak dawna? Chciała wzbudzić w tobie wątpliwości, usunąć cię z tej sprawy.

— Zabiła Sama...

— Tak, lecz złapaliśmy ją. Tym razem jest to sprawa nie tylko kradzieży, lecz i morderstwa... Nie wyjdzie już z tego!

Darlan szepnął z goryczą: — Może dwóch morderstw...

— Trzymaj się twardo, chłopcze!... Zobaczysz, wyleczymy cię!

Zbliżał się głos syreny pogotowia ratunkowego.

Oprac. A. S.

KRZYŻÓWKA ŚWIĄTECZNA

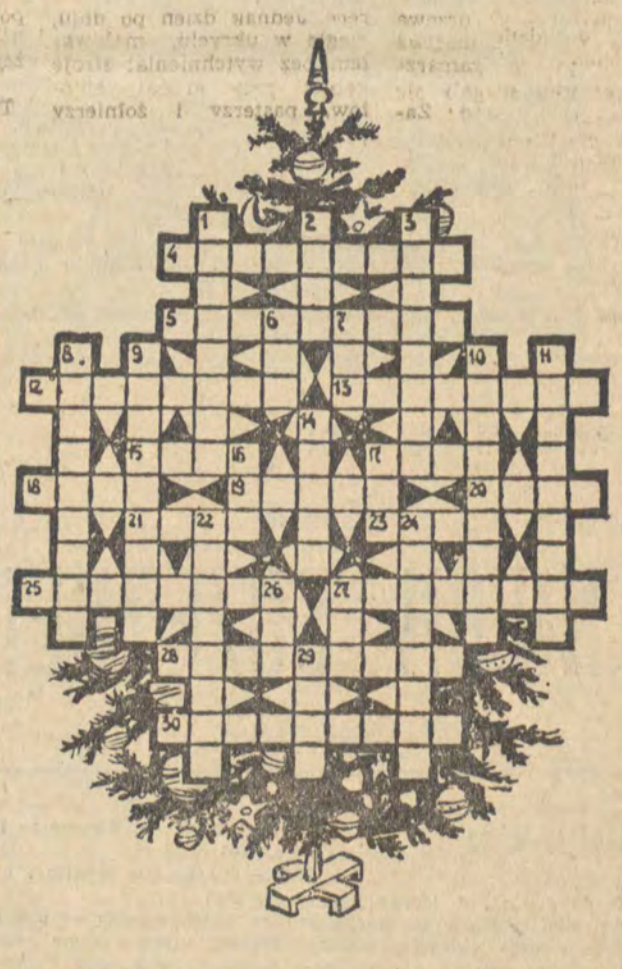

POZIOMO: 4. Przeprowadzający transakcje dyskontowe. 5. Np. wykładowca matematyki. 12. Utwór Sofoklesa. 13. Nauczający o zasadach klasyfikacji roślin i zwierząt. 15. Jest na nich szczyt Narodnaja. 17. Nie ma na niego lekarstwa. 18. Leży nad jeziorem Wener. 19. Miasto w Iraku. 20. Opryszek, zbój. 21. Ryba. 23. Nie duży. 25. Miasto w woj. bydgoskim, znane z ruin zamku krzyżackiego. 27. Zespół organizmów roślinnych i zwierzęcych w toni wodnej. 28. Mały karabin. 30. Rosyjski pisarz („Sen Makara").

PIONOWO: 1. Dom modlitwy. 2. Pierwiastek ziem rzadkich. 3. Nieodzowny na łodzi podwodnej. 6. Historyczny okres czasu. 7. Część utworu scenicznego. 8. Specjalista w zakresie entomologii. 9. Potrafi to symulant. 10. Schorzenie uczuleniowe w postaci swędzących bąbli na skórze. 11. Słynny osiołek opisany przez Gałczyńskiego. 14. Gryzoń z rodziny wiewiórkowatych. 16. Inaczej nygus. 17. Miasto w NRF nad Dunajem. 22. Wykonuje zdjęcia do filmów. 24. Nazwa ornamentu. 26. Przylądek nad cieśniną Sugaru w Japonii. 27. Np. daje koniom wodę. 29. Wynalazca telefonu.

oprac. J. KAŁUŻKA

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki czekają na naszych Czytelników następujące nagrody:

I nagroda — lampa na biurko, II nagroda — budzik, III nagroda — suszarka do włosów.

Termin nadsyłania rozwiązań — do dnia 15 stycznia 1972 r., na adres: „Odgłosy", Łódź, Piotrkowska 96, z dopiskiem na kopercie: „Krzyżówka świąteczna".

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

KCIUK CÉSARA

W roku 1965 paryska galeria sztuki Claude Bernard ogłosiła konkurs na rzeźbę. Tematem była „ręka". Wielu rzeźbiarzy nadesłało prace bądź figuratywne bądź abstrakcyjne. A wśród nadesłanych prac znalazł się kciuk. Był to olbrzymi odlew z różowo-czerwonego sztucznego tworzywa kciuka rzeźbiarza, którego prawie nikt wtedy jeszcze nie traktował na serio, Césara.

„Kciuk! Kciuk Cesara!" — pokpiwano sobie z rzeźbiarza. Jego pomysł wydawał się tak dziwaczny, że cały Paryż miał uciechę. A dziś kciuk Césara powiększony do wysokości dwu metrów, odlany w brązie uchodzi za jedno z najciekawszych dzieł rzeźbiarza, który uważany jest obecnie za jednego z najwybitniejszych artystów naszych czasów.

Jeszcze kilkanaście, jeśli nie kilka lat temu, zadawano sobie pytanie, czy César w ogóle może być traktowany jako rzeźbiarz. Bo cóż to za rzeźbiarz, który swoje dzieła tworzy przy pomocy aparatu spawalniczego łącząc nim kawałki żelaznego złomu albo posługując się zwykłym wiadrem wylewa ciekły polyurethan, zastygający następnie w przedziwnych formach?

César Baldaccini, zwany popularnie Césarem, urodził się w roku 1921 w Marsylii w dzielnicy Belle-de-Mai zamieszkałej głównie przez Włochów i Hiszpanów. Jego ojciec był początkowo bednarzem, potem właścicielem bistra. César już w dzieciństwie lubił rysować. Ktoś ze znajomych ojca, bywalec bistra, zauważył rysunki chłopca i radził by go uczyć sztuk plastycznych. Ale po ukończeniu szkoły podstawowej César nie od razu idzie się kształcić na artystę. Przez trzy lata pracuje ciężko u jednego z marsylskich kupców win roznosząc butelki z tym napojem. Od tamtych czasów, przez noszenie nadmiernych ciężarów, pozostało mu skrzywienie kręgosłupa.

Mając lat piętnaście César Baldaccini wstępuje do szkoły sztuk pięknych w swym rodzinnym mieście. Teoria trudno idzie mu do głowy, nadzieje artystyczne pokłada jedynie w zręczności swych rąk.

W roku 1942 przybywa do Paryża, w rok później jest studentem w Ecole des Beaux-Arts. Opuści tę uczelnię dopiero po kilkunastu latach, bowiem pozycja studenta dawała szereg przywilejów ułatwiających mu życie jak np. tanie obiady. Dziś, w tejże samej uczelni, César Baldaccini jest profesorem. Wówczas, w latach studenckich i bezpośrednio po nich, César zarabia na życie wykonywaniem różnych prac. M.in. zmywał naczynia w restauracji lub był malarzem pokojowym, potem znajduje zatrudnienie w swoim zawodzie w atelier Gaumonta. Około roku 1948 César, który dotąd uważał się raczej za malarza, tworzy rzeźby z gipsu i żelaza. Są to najtańsze materiały. Zwłaszcza stare żelastwo jest darmo. Znajduje je m.in. w jednej z fabryk, gdzie trafia przypadkiem. W tej fabryce César, posługując się palnikiem spawalniczym, tworzy swe pierwsze rzeźby ze starego żelastwa: fantastyczne zwierzęta, skrzydlate istoty, ryby, chrabąszcze, pchły ogromnej wielkości, skorpiony, nietoperze, laleczki itd. itd.

Mając już 33 lata w roku 1954 wystawia owe dzieła u Lucien Duranda w Paryżu. Czy César traktuje swoje zajęcie jako sztukę, a może z niej po prostu kpi? — zastanawiają się krytycy i publiczność. Wkrótce jednak znajduje i zwolenników. W roku 1960 — nowa niespodzianka. César w Salonie Majowym wystawia swoje „kompresje". Są to trzy, sprasowane na prostopadłościany, karoserie starych wraków samochodowych. Czy to także mają być dzieła sztuki? — wołają niektórzy oburzeni do żywego krytycy. Ale César ma odwagę bronienia swoich dzieł. Dla niego ten metal ze starego samochodu, sprasowany i zgnieciony, nabrał swoistych wartości artystycznych. I dziś kiedy César zamiast sprasowywania starych karoserii samochodowych, zgniata drogocenną biżuterię tworząc z niej prostopadłościany podobne do malutkich kostek domina, nikt już nie ma wątpliwości, że są to istotnie dzieła sztuki, za które trzeba płacić znacznie więcej niż za biżuterię z której powstały.

César obok swej rzeźby „Kciuk"

Sculptures portables, rzeźby do noszenia — nazywa je César zachwycając się cudowną właściwością szlachetnych metali, które nie kruszą się podczas sprasowywania, lecz gną, wyciągają, rozciągają w przedziwne i zachwycające formy.

„To co mnie interesuje — powiada César — to swoista właściwość tworzywa; możliwości jakie ono nam ofiarowywuje. Istotnym jest piękno danego materiału, a wszystkie są cenne...". Szczególnie zaś cennym materiałem dla Césara są plastyki. Rozlewa je ciekłe, by zastygając układały się w niespodziewane kształty. Nazywa te dzieła „Expansion", ekspansjami, a pokazał ich powstawanie w Brukseli i Rzymie, w Monachium i Londynie, w Montevideo i Sao Paulo.

Jak i czego ma zamiar uczyć w paryskiej Szkole Sztuk Pięknych? César sądzi, że jego wychowankowie powinni przede wszystkim poznawać właściwości i specyfikę materiału zanim powezmą ideę jakiejś rzeźby. Dobre poznanie właściwości różnorodnych materiałów może być bodźcem do zupełnie nowych orginalnych koncepcji twórczych.

CYNOWE FIGURKI

Cynowe żołnierzyki odmaszerowały już do historii. Ulubiona zabawa dzieci (a czasem nie tylko dzieci) małymi figurkami z metalu, tak powszechna zwłaszcza w połowie XIX w., a sięgająca początków naszego wieku — znikła raz na zawsze. I tylko kolekcjonerzy zajmują się dziś zbieraniem cynowych figurek, nieraz mających znaczną wartość historyczną, nieraz będących prawdziwymi arcydziełami sztuki. Te małe figurki przeważnie 33-milimetrowej wysokości wytapiano ze stopu cyny, ołowiu, antymonu, czasem z niewielkim dodatkiem srebra.

Dziś zbieracze cynowych figurek łączą się często w stowarzyszenia. I tak np. w Szwajcarii istnieje stowarzyszenie pod łacińską nazwą „Figurina Helvetica" liczące około 70 członków. Jeden z nich, dr. Kollbrunner może się poszczycić niebywałym zbiorami. Jego kolekcja, jedna z najbogatszych tego rodzaju, składa się z aż 180.000 cynowych figurek. Dr. Kollbrunner posiada m.in. pełny komplet 155 francuskich chorągwi piechoty w marszu, z czasów Ludwika XV, a każda chorągiew trzymana przez żołnierzyka jest przedstawiona z najdrobniejszymi, historycznie wiernymi, szczegółami. Tenże kolekcjoner ma też zbiór przedstawiający wszystkich królów i wszystkie królowe Anglii, z jednym tylko wyjątkiem. Nie udało mu się bowiem zdobyć cynowej figurki Elżbiety II. Ale ponieważ i dziś jeszcze istnieją prawdziwi mistrzowie wytapiania takich figurek, chociaż pracują jedynie dla kolekcjonerów, szwajcarski zbieracz będzie miał możność uzupełnienia swego pocztu królów angielskich.

Cynowe figurki mają bogatą przeszłość historyczną.

Karczmarz z dzbanem w ręku na starej miniaturze przerysowany dla wykonania figurki cynowej

Podobno już w starożytnej Grecji i Rzymie dzieci bawiły się małymi żołnierzykami z cyny lub brązu. Potem dopiero w wieku trzydziestym nastaje moda na cynowe figurki. Początkowo nie są one bynajmniej przeznaczone dla zabawy. Sprzedawane bywały na odpustach, służyły celom wotywnym lub sakralnym. Dopiero później cynowe figurki staną się zabawą dzieci. Z czternastego wieku przetrwał do naszych czasów, przechowywany w muzeum w Cluny, cynowy rycerzyk, figurka 6-centymetrowej wysokości. Siedzi on na koniu o wspaniałej uprzęży. Rycerz zbrojny jest w miecz zawieszony u pasa, w lewej ręce trzyma tarczę, a w specjalnym uchwycie przy siodle tkwi kopia.

Dalszy rozwój cynowych figurek następuje w wieku XV, głównie w Niemczech. Powstaje szereg warsztatów zajmujących się wytapianiem cynowych postaci, domków dla nich itp. Wieki XVII i XVIII dalej kultywują to rzemiosło, z tym, że w połowie XVIII wieku następuje wyraźna przewaga żołnierzy wśród cynowych ludzików, choć pojawiają się też bardzo kunsztownie wykonane, małe arcydzieła sztuki rzeźbiarskiej: postacie cesarzy, królów, dam i kawalerów dworskich. Są to zazwyczaj figury szachowe. W wieku XIX sztuka wytapiania cynowych figurek rozwija się bardzo intensywnie. Wojny napoleońskie mają nie mały wpływ na dziecięce zabawy cynowymi żołnierzykami. Mamy z tego okresu żołnierzy w malowniczych strojach, całe ich armie, a obok tego zwierzęta najprzeróżniejszych gatunków, ze wszystkich kontynentów. Pojawiają się ponadto postacie historyczne, przedstawiciele wszystkich niemal zawodów, karety pocztowe z pocztylionami, wozy wieśniaków i wytworne powozy bogaczy, pasterzy z ich trzodami, ogrodników przy swych zajęciach, właścicieli gospód z dzbanami w ręku itd., itp.

Pojawienie się takiej mnogości malutkich postaci cynowych, a wkrótce elementów krajobrazu jak cynowe drzewa, domy, zwierzęta, pałace, zamki i gospody, nasuwało myśl ustawiania tych malutkich „figurek" na tle krajobrazu, w odpowiednie sceny, bitewne czy przy normalnych zajęciach zawodowych, do konstruowania tzw. dioramy. Sporządza się więc teraz dioramy, oszklone skrzynki wysypane żwirem, wyłożone kamykami. Wtyka się w podłoże cynowe drzewa, krajobraz ożywia cynowymi domkami. Ustawia się na tle krajobrazu żołnierzyków w bojowe szyki, ukazuje ten czy inny moment bitwy, mającej nieraz ważne znaczenie historyczne. I do dziś jeszcze w niektórych krajach europejskich pokazuje się dzieciom na lekcjach historii tego rodzaju dioramy.

Dziś jednak figurki cynowe to przede wszystkim przedmioty zainteresowania zbieraczy.

Przeszłość i teraźniejszość

W sprawie polityki przekładów

Ilekroć zajmuję się na tych łamach jakąś obcą książką historyczną, która ukazała się w przekładzie polskim, zadaję sobie pytanie, czy wybór tłumaczonego dzieła był zasadny, czy — nawet, jeżeli rzecz okazała się wartościowa — nie mógł być jeszcze lepszy. Szczęśliwie odchodzimy coraz dalej od zadawnionej praktyki tłumaczenia tylko takich tekstów, które by potwierdzały nasz własny punkt widzenia i staliśmy się bardziej tolerancyjni nie tylko dla swoich, lecz również i dla cudzych mniemań, nawet wtedy, kiedy w jakimś tam punkcie uważamy je za niesłuszne. Dopiero na tej zasadzie stało się możliwe przetłumaczenie długiej serii książek autorów obcych, dotyczących okresu międzywojennego i lat II Wojny Światowej w tym pasjonujących pamiętników, wydawanych w serii zainicjowanej przez Stanisława Zabiełłę.

Jesteśmy jak wiadomo społeczeństwem, które jest bardzo wyczulone na to, co mówią o nas i piszą inni. Jesteśmy bardzo zadowoleni, jeżeli ktoś obcy a nam życzliwy zainteresuje się tematyką polską, zajmie się naszymi dziejami, dorobkiem kulturalnym, literaturą czy sztuką. Chętnie takie osoby zapraszamy do Polski, nadajemy im honorowe odznaczenia. Ale bardzo, niezmiernie rzadko TŁUMACZYMY u nas ich dzieła, te, które są wszak nam poświęcone. Przykładów na to jest aż zbyt wiele. Zapytajmy: ile spośród cenionych przez fachowców książek, odnoszących się do różnych problemów dziejów Polski a napisanych przez życzliwych nam uczonych z naszego obozu politycznego doczekało się polskiego tłumaczenia? Dla wyliczenia, palców jednej ręki byłoby za dużo. A czy dzieła nieżyjącego akademika W. Piczety, zmarłej niedawno L. Razumowskiej, nieżyjącego od 1968 r. badacza dziejów rewolucyjnych stosunków polsko-rosyjskich w XIX w. T. Snytko i innych radzieckich, czeskich czy węgierskich przyjaciół nie były interesujące również dla polskiego czytelnika? Przenieśmy się na inny obszar. Żyje we Francji znakomity znawca dziejów naszego kraju, profesor uniwersytetu w Grenoble A. Jobert, autor znakomitej monografii o Komisji Edukacji Narodowej i innych prac poświęconych tematyce polskiej. Badania swoje rozpoczął na wiele lat przed wojną, gdy był profesorem Instytutu Francuskiego w Warszawie. Źródła, na których oparł się francuski badacz dziejów KEN, w większości już nie istnieją i nie ma nadziei zastąpienia ich innymi. Książka o Komisji, podobnie jak mniejsze od niej studium o stosunkach magnatów polskich doby Oświecenia z fizjokratami francuskimi ukazały się już w okupowanym Paryżu, jako wydawnictwo nieistniejącego już wówczas Instytutu Francuskiego w Warszawie. Miało to swoją wymowę. Ale ma także i to, żeśmy żadnej z prac A. Joberta u nas nie przetłumaczyli. W 1952 roku ukazało się w Paryżu opasłe dzieło J. Fabre'a „Stanisław August Poniatowski i Europa Oświecenia", wynik długoletnich, podjętych na długo przed wojną poszukiwań badawczych. Prawda, że pojawiło się ono akurat wtedy, kiedy u nas zupełnie nie było klimatu do tłumaczenia książek, wydawanych w stolicy Francji, ale przecież sytuacja uległa od dawna zmianie i jakoś ani ta, ani inne z większych prac tego uczonego poświęconych problematyce polskiej jak dotąd u nas się nie ukazały. Jeszcze T. Boy-Żeleński przyjaźnił się z głośnym francuskim slawistą P. Cazin'em, autorem nie tylko pięknego tłumaczenia „Pana Tadeusza", lecz także przepięknej, opublikowanej podczas wojny monografii o Księciu Biskupie Warmińskim Ignacym Krasickim. Wybitny slawista belgijski C. Backvis debiutował książką o innym naszym pisarzu doby Oświecenia — Stanisławie Trembeckim. Czy kto pamięta, że znany u nas dobrze polityk francuski polskiego pochodzenia J. P. Palewski, który często odwiedza nasz kraj, jest autorem opublikowanej zaraz po wojnie książki „Stanisław August Poniatowski, ostatni król Polski"? Praca to wprawdzie nie najgłębsza, ale wtedy, w połowie lat czterdziestych, jej ogłoszenie drukiem coś przecież dla nas znaczyło...

Można by o tych sprawach wiele. Nie wystarczą doktoraty honorowe i zagraniczne członkostwa naszej Akademii jako wyrazy uznania dla czyjejś, nam przecież poświęconej pracy. Nie wystarczą tylko kurtuazyjne gesty. Wobec licznych naszych przyjaciół w różnych stronach świata, tych, którzy bezinteresownie piszą dzieła o naszej przeszłości, kulturze, literaturze, mamy wciąż do spłacenia ogromny dług. To nic, że niektóre z ujęć, prezentowanych przez obcych badaczy, mogą budzić nasze zastrzeżenia: zawsze jest okazja, aby je zgłosić. Sprawa przetłumaczenia u nas najwybitniejszych obcych dzieł naukowych o tematyce polskiej musi doczekać się swego rozstrzygnięcia. Czasami bowiem można odnieść wrażenie, że w naszych zagranicznych przyjaciołach widzimy nie sojuszników, ale... konkurentów. Uderzmy się w piersi: czy dziś, w obliczu zbliżającego się jubileuszu Komisji Edukacji Narodowej, mamy w naszym piśmiennictwie lepsze jej historyczne opracowanie od książki Joberta? Jeżeli są środki na to, by przekładać u nas różne „Stulecia detektywów", czemu nie znaleźć ich także na przetłumaczenie dzieł tych zagranicznych uczonych, którzy poświęcili swój talent i pracę nam samym?

ANDRZEJ F. GRABSKI

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Łoboda (kier. działu literackiego), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6,50 zł, kwart. 19,50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Żwirki 17. Zam 2530. S-5.

KONKURS

„ŚWIĄTECZNE PODARUNKI"

Stary to obyczaj — prezenty pod choinką. W każdym razie tak stary, jak... choinka. Szczegóły na ten temat znajdziecie w świątecznym felietonie Jerzego Widoka — tu wszakże nie o tradycję chodzi, lecz o zabawę.

Widzicie tę gromadkę dzieciaków? Buzie coś jakby znajome i w istocie są to znane postacie filmu i telewizji. Dla nich to właśnie święty Mikołaj (albo jak kto woli Dziadek Mróz) przygotował prezenty pod świąteczną (lub jak kto woli noworoczną) choinką.

Cała trudność polega tylko na tym, aby odpowiednie prezenty przydzielić właściwym dzieciom. Muszą to zrobić nasi Czytelnicy i sądzimy, że więcej z tym będzie zabawy niż kłopotu. Konkurs jest bowiem łatwy, wiemy, że intelektualny wysiłek trudno przedkładać nad uciechy świątecznego stołu.

Numery, którymi oznaczone są prezenty pod choinką, należy więc wpisać do kuponu obok nazwiska obdarowanego dziecka. Następnie przesłać na adres „Odgłosów". Przesyłać rozwiązania można listem (poleconym, zwykłym, lotniczym, ekspresowym), na karcie pocztowej, telegraficznie, dostarczyć osobiście lub przez umyślnego. Jak kto woli. ADRES: ŁÓDŹ, „ODGŁOSY", PIOTRKOWSKA 96 — z dopiskiem: „Świąteczne podarunki". Termin nadsyłania rozwiązań — do 10 stycznia 1972 roku.

Na uczestników konkursu czekają nagrody w postaci bonów towarowych:

I nagroda — 1.500 zł,

II nagroda — 1.000 zł.

III nagroda — 500 zł.

oraz pięć wyróżnień książkowych.

Jacek Fedorowicz		Nazwisko i imię:
Gustaw Holoubek		
Czesław Niemen		Adres:
Franciszek Pieczka		
Violetta Villas		
Andrzej Wajda		Zawód:
Ewa Wiśniewska		
Adam Zwierz		

10840 - A

im. J. P. w Łodzi